Czasopismo Społeczności Lokalnej

Izery

Wyd. listopad 2009, nr 13 Cena: 1,90 zł Nakład: 500 egz. ISSN: 1899-8313

Smrk od strony Izery

fot. Miloš Kirchner

Czasopismo wydawane przez Stowarzyszenie Promocji i Rozwoju Pogórza i Gór Izerskich "Zakwisie"

www.zakwisie.pl

Już roczek minął jak jeden dzień

Ledwo się obejrzeliśmy, a tu już wyszedł się dwunasty numer ***Izerów***. Co prawda wiek metrykalny nieco różni się od wieku kalendarzowego, ponieważ 12-ty numer ukazał się później niż w 12-tym miesiącu, ale co tam. Gorzej bywa, gdy taki miły bobasek pojawi się wcześniej niż w 9-tym miesiącu po ślubie. Cieszmy się więc tym, że po prostu jest i żyje mu się w zdrowiu. Przy okazji jubileuszu

warto powspominać nieco o minionym roczku. O tym jak niemowlę zaczynało podnosić główkę na medialnym rynku, o wyrzynającym się ząbku(ostrym), który niektórzy chcieliby natychmiast usunąć. O tym, jak raczkujące ***Izerki*** zaczęły interesować się wszystkim dookoła, wsadzać nosek i rączkę, tam gdzie nikt inny nie miał do tej pory odwagi. O tym, jak czasami dziecko kwiliło, mając wszystkiego dosyć, a dobre ciocie i wujkowie przynosili zawsze jakieś słowa pocieszenia. O nieprzespanych nocach(rodziców) spowodowanych wysoką gorączką wydawniczą. I wreszcie o konstatacji rodziców, dotyczących rosnących kosztów wychowania dziecka.

Nie można koncentrować się wyłącznie na minusach, a może minusikach. Po stronie „ma" jest chyba więcej. Wzrasta grono osób mu życzliwych, a i na sąsiadów można liczyć. Dzieciątko jest rozpoznawane na naszym podwórku. Jego poczynania (może czasami nieporadne, ale autentyczne) wspierane są życzliwym słowem i czynem przez Czytelników, za co serdeczne Wam dziękujemy.

Rodzice/Redakcja

Grono redakcyjne wznoszące toast za zdrowie Jubilata.

Na stojąco czy na kolanach?

W dniu 26.10.2009 r. miało miejsce niezwykłe, nawet biorąc pod uwagę tradycyjną uległość naszych radnych, wydarzenie. Tuż przed sesją, na której miały być uchwalane podatki na 2010 rok, Pani Przewodnicząca D. Ławnikowska zwołała pospiesznie zebranie radnych, na którym postanowiono zmniejszyć podatki dla jednej z firm. Odbyło się ono na stojąco, w pokoju Pani Przewodniczącej, tuż przed samą sesją. Co się ważnego wydarzyło ,aby wzywać radnych na ostatnią chwilę?

Spróbujemy na to pytanie odpowiedzieć. Zacznijmy od początku, aby trzymać się chronologii wydarzeń. W poniedziałek 26.10.2009 r. odbyło się wspólne posiedzenie komisji stałych Rady Miasta i Gminy Mirsk. Przedmiotem dyskusji miała być, między innymi, wysokość podatków na rok 2010. Burmistrz A. Jasiński przedstawił swoje propozycje podatkowe wraz z uzasadnieniem. W trakcie analizy przedstawionych dokumentów rozwinęła się dyskusja na temat spadku wpływów z podatków w ostatnim kwartale bieżącego roku. Zastanawialiśmy się również nad kondycją firm w naszej gminie, czy utrzymanie wysokości lub niewielki wzrost podatków może spowodować spadek rentowności na „zwijającym" się rynku. Zmniejszenie wpływów byłoby bardzo niekorzystne dla budżetu, biorąc pod uwagę ilość zaplanowanych na następny rok inwestycji. Pan burmistrz nie miał wątpliwości, podtrzymując swoje propozycje.

W tym miejscu historia podatkowa nabiera tempa i rumieńców. Dzień po posiedzeniu komisji tj. 27.10.2009 r. do Rady wpływa pismo Zarządu spółki Pana Sobiesława Zasady. W tym piśmie proponuje się zmniejszenie wysokości podatków w różnych działach, podając szereg powodów. Oto najważniejsze z nich:

1. Wysokie koszty zaciągniętego kredytu bankowego.
2. Wykonywanie dodatkowych prac zabezpieczających i przeciwdziałających erozji gleby.
3. Remont dróg asfaltowych i szutrowych.
4. Partycypacja w kosztach budowy wodociągu dla Uzdrowiska Świeradów Zdrój.
5. Wymiany podpór do utrzymania siatek zabezpieczających.

Po tym piśmie Pan burmistrz Jasiński zdecydował się zmienić szybko propozycję stawki podatkowej: „związanej z prowadzeniem działalności gospodarczej, bez względu na sposób zaklasyfikowania w ewidencji gruntów i budynków - w zakresie wyciągów narciarskich, nartostrad i pasażerskich kolei linowych" , czyli wydzielić nową kategorię dla tej firmy. Zmniejszy to wpływy do budżetu w następnym roku o ponad 40.000,00 zł. Taką propozycję przedstawiono radnym na owym pośpiesznie zwołanym, nadzwyczajnym zebraniu. Inni przedsiębiorcy z naszej gminy, mimo kosztów, które ponieśli na rozwój swoich firm, będą płacić podatki według pierwotnych nie zmienionych stawek. Propozycja burmistrza oczywiście przeszła w głosowaniu podczas sesji: 7 radnych było za, 4 wstrzymało się, 3 było przeciw. Według przyjętych w społeczeństwie prawideł wszyscy obywatele, wszyscy przedsiębiorcy, wszystkie firmy powinny być traktowane jednakowo. Burmistrz ma prawo umorzyć w całości lub częściowo podatki, biorąc pod uwagę kondycje finansową każdego podmiotu. Tą właśnie drogą powinno się pójść. **Panie Burmistrzu, Panie i Panowie radni nie można łamać pewnych zasad nawet dla Pana Zasady.**

(red.)

Kabelek Izerski

Mirski ZGKiM zapobiega niekontrolowanemu laniu wody

Mieszkańcy Giebułtowa często są narażeni na przerwy w dostawie wody. Powodem są awarie wodociągu przejętego kilka lat temu od zakładu WOMAREX (za niezapłacone podatki). Wodociąg jest w stanie agonalnym. Rury w wielu miejscach pamiętają Bolesława Bieruta. Zakład Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej w Mirsku –obecny zarządca- ofiarnie usuwa częste usterki, które przytrafiają się (pech chce) podczas większych opadów lub zimnych i porywistych wiatrów. Ostatnia awaria była połączona z wielokrotnymi przerwami w dostawie prądu. Tym bardziej mieszkańcy zdenerwowani brakiem podstawowych mediów dziękują pracownikom ZGKiM za naprawianie wodociągu do późnych godzin wieczornych.

Śnieguliczka kontra śmieci

Komu pożalić się w sprawie skrzyżowania głównego w Giebułtowie tego nawet Kabelek nie wie. Przystanek

Rosnąca sterta śmieci z prawej strony przystanku.

autobusowy powoli staje się obrzydliwym śmietnikiem i kloaką. Opuszczoną posesję w sąsiedztwie Kabelek już opi-

Zmagania śnieguliczki ze śmieciami z lewej strony przystanku.

sywał. Obecnie część śmieci zarastają przepiękne krzewy śnieguliczki białej (łacińska nazwa Symphoricarpos Duhamel). Zatroskany Kabelek zastanawia się kto do przyszłego roku urośnie szybciej: śnieguliczka czy śmierdząca góra śmieci?

Podsiąki w Rębiszowie

Kabelek zajrzał do budynku użyteczności publicznej w Rębiszowie (niedoszłego-z powodu obstrukcji burmistrza-Domu Izerskiego). Oczy jego zrobiły się wielkie jak 5-cio złotówki. W tym

Odpadające tynki w toalecie.

nowym, niedawno oddanym do użytku obiekcie, ze ścian korytarza, toalety i szatni obsypuje się tynk. Ponadto czuć jest stęchlizną, której charakterystyczny odór wyczuwalny był podobno w pobliżu mirskiego ratusza. Warto byłoby powołać obiektywnego rzeczoznawcę, aby zlokalizować dokładnie miejsce awarii i wykonać odpowiedni zabieg chirurgiczno-sanitarno-budowlany.

Azbest i liszaje

Na jednym z budynków przy ul. Zdrojowej w Mirsku pojawiła się kolorowa tabliczka informująca o tym, że z tej

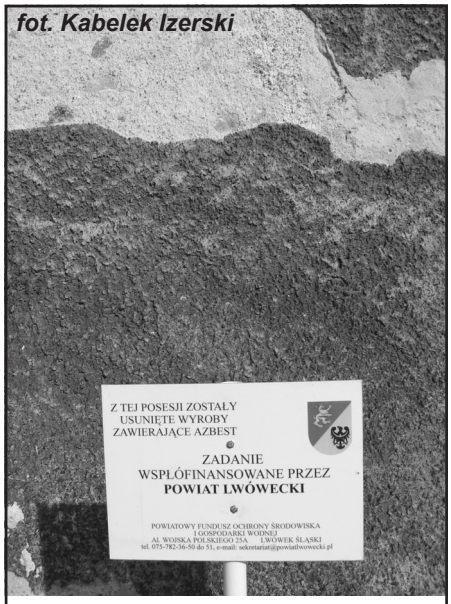

Gustowna tabliczka na tle odrapanej ściany.

posesji zostały usunięte materiały zawierające azbest. Niestety znacznie trudniej jest usunąć brudne liszaje odpadającego tynku i położyć nowy. Tak oto na naszych oczach tradycyjnie nowoczesność gryzie się z historią.

Stare - nowe

Na naszych mirskich ulicach pojawiły się wreszcie nowe tabliczki z nazwami ulic. Pozostały jednak stare błędy. Proponujemy naszym czytelnikom wzięcie

Stara tablica.

udziału w konkursie. Polegał on będzie na wyszukaniu owego błędu na starej i nowej tablicy z nazwą ulicy. Poprawne informacje dotyczące owego błędu proszę dostarczać do biura informacji i promocji. Każdy, kto tam się zgłosi osobiście

Nowa tablica.

z prawidłową odpowiedzią, powinien otrzymać stosowną nagrodę.

Miało być o drzewach…Będzie o grzybach!

Lato grzybami na Pogórzu i w Górach Izerskich nie obrodziło. Zawiedzeni grzybiarze szukali pocieszenia w warzywniakach, kupując pieczarki. Trzeba było się wykazać większą cierpliwością i poczekać do późnej jesieni. Jak nigdy- udały się opieńki miodowe.

Owocniki wyrastają w gęstych wiązkach na pniach porażonych drzew i wokół nich, często w olbrzymiej ilości. Zalecam obgotować i dopiero przerabiać do smażenia i marynaty. W tym sezonie po raz kolejny odkryłam na nowo Giebułtowski Las. Są miejsca zapierające dech w piersiach. Przepięknym fragmentem lasu jest jeszcze widoczna aleja pałacowa. Malowniczy strumyk, przepływający środkiem kompleksu leśnego, jeszcze 50 lat temu zasilał stawy hodowlane -obecnie zarośnięte i grząskie niecki otoczone groblami, po których świetnie się spaceruje. I nie kłamię, strumyk w całej swojej rozciągłości wprost bajkowy. Dookoła omszałe pagórki i mini łączki porośnięte krótką, jakby strzyżoną trawą. Brakowało tylko wiewiórek, kilka lat temu widziałam rude i czarne. Co z grzybami? Były… Trzy podgrzybki, dwa maślaki żółte, młodziutkie białe purchawki (jeszcze nie mam odwagi ich jeść, więc nie zrywałam) i torba „ekolożka" opieniek miodowych. Spotkałam sporadycznie rosnące szmaciaki lub gałęziaki, inaczej kozie brody. Dodawały uroku zmurszałym pniakom, nie zbieram-są pod ochroną i nie ma sensu zawracać sobie głowy ich rozróżnianiem! W kilku miejscach na wysokich pniach pojawiły się boczniaki. Były zbyt małe na zbiór, ale jak mnie nikt nie uprzedzi, to za tydzień pójdę pozbierać. Oczywiście krocie nieznanych mi bliżej i dalej „trujaków" (raj dla Wiedźm). Wśród nich o przepięknej łacińskiej nazwie Amanita muscaria – muchomor czerwony.

Julka w pozie opieńka.

W grzybach nie ma większych składników odżywczych. Trochę mikroelementów, walory smakowo- zapachowe. Dlatego zapewne Kuchnia Polska (tylko z dużej litery o naszej kuchni) słynie z wielu rewelacyjnych potraw grzybowych, każdy z nas ma jakiś przysmak. Ale zbierajmy z rozwagą i zawsze tylko te grzyby, które znamy i obyśmy w tym samym gronie z koszykami spotkali się za rok!

Wiedźma Izerska

Post scriptum 1 – Leżąca ot tak sobie w lesie torba plastikowa została wypełniona śmieciami, których widok ranił wszystkie doznania estetyczne.

Zastanawia mnie, jak wielki musi być upór śmieciarza by zanieść do lasu (najbliższy dom ok. 2 km) np.: worek pustych butelek szklanych i innych segregowanych śmieci?

Post scriptum 2 – Las Giebułtowski jest najpiękniejszy na Pogórzu i w Górach Izerskich (nie umniejszając urody innym najpiękniejszym miejscom tych terenów), dlatego zgłaszam właśnie ten las jako kandydata do listy „Siedmiu Cudów Gór i Pogórza Izerskiego", tym samym niechcący i samozwańczo otwieram listę i proszę o opisy i zdjęcia takich miejsc, które zdaniem czytelników zasługują na wyróżnienie. Propozycje można składać na adres redakcji.

"Park Ciemnego Nieba"

Przez Park Ciemnego Nieba
Z dziewczyną szedł Jan Szary
Miał wąsy tudzież chlebak
I niecne miał zamiary

Świat - rzekł jej - widzę czarno
W szczególe i w zarysie
Vanitas popadł w marność
Więc może oddasz mi się?

Gdy grypa czas się bawić
Z rozmachem a nie skromnie
Mus szaleć i się pławić
To co, pójdziemy do mnie?

Nie trzeba nam zegarków
A miłość jest bezcenna
W Ciemnego Nieba Parku
Jan Szary jeszcze ściemniał

A ona? Wciąż słuchała
W tę ciemność mknąc przepastną
Wnet doszło, że mu dała
Do zrozumienia. Jasno

Że nie jest taka ciemna
Jak pierwsza lepsza w ZUSie
Jan może piać i żebrać
Lecz wciąż nie odda mu się

Przez Park Ciemnego Nieba
Jan Szary gna w sobotę
I uczy się - tak trzeba!
Jak wciska się ciemnotę

Grzegorz Żak

Jam nie z soli ani z roli…

W jednym z pierwszych numerów naszego pisma pisałem o drogach. Jakiś rok temu będzie. I najwyraźniej czas powrócić do tematu. Nasze drogi pięknieją niemal z dnia na dzień. Wprawdzie mocno mamy utrudniony dojazd do Świeradowa Zdroju, ale… Jeśli mam jechać dobrą drogą to pal to sześć.

Niestety zawsze jest jakieś „ale". Na całym świecie drogi buduje się od późnej wiosny do początków jesieni, a typowo polską specjalnością, nie znaną na całym świecie, jest budowanie, czy raczej kładzenie dróg w okresach jesiennych słot i pierwszych przymrozków. Kiedyś na sesji Rady, kiedy była ona poświęcona właśnie drogom, spytałem, dlaczego w deszczu i błocie są klejone dziury na jezdni. Odpowiedź pana inspektora brzmiała: to niemożliwe, bo niezgodne z normami i nikt by się tego nie ośmielił zrobić. Widocznie dziury w jezdni, a dywanik to inne normy i dywanik kłaść można i już.

Obok dywanika z Orłowic do Świeradowa miał być chodnik i… „Ni ma". Zamiast chodnika mamy miejscami uskok, tak ze dwadzieścia centymetrów. Znam już dwie osoby, które sobie zrobiły krzywdę, jedna „dachowała" rowerem, próbując uciec na pobocze, a druga skręciła nogę. Teraz czekam na urwane koło w samochodzie przy dużej prędkości. Ale będzie się działo.

A teraz trochę poważniej. Droga do Świeradowa Zdroju ma kładziony dywanik po raz trzeci w ciągu paru ostatnich lat. Niestety tylko do krzyżówki na Czerniawę. Dalej, choć od dziesięcioleci nie jest remontowana, i aż się o to prosi, nikt nie ma zamiaru jej naprawiać. Najbardziej bulwersuje zerwanie chodników, które położono na nowo trzy lata temu. Teraz zerwano je i położono nowe z nowej kostki (pytanie, co ze starą ?). Czy to niegospodarność? Czy to tylko niegospodarność??? A może brak gospodarza…

Jacek Krasnopolski

Ratusz nasz widzę ogromny...

Najbardziej okazałą budowlą w Mirsku jest bez wątpienia ratusz. Ustanawia on centrum miasta pod względem topograficznym i społecznym – jest siedzibą władz. Uznałem, że warto dla naszych Czytelników przedstawić zarys historii tego codziennie widzianego symbolu miasta.

Historia ratusza sięga XVI wieku. Według kronikarza Bergemanna istniał on w 1520 roku lecz nie podał źródeł tej informacji. Craemer podaje jako pewną datę rok 1558, gdyż w tym roku w dniu 23 lipca, jak podają Kroniki, ratusz spłonął w czasie pożaru miasta.

Kronika „Stadtbuch der Stadt Friedeberg a. Queis" A. Creamera jako datę rozpoczęcia prac nad budową ratusza podaje 5 maja 1546 roku, kiedy to położono kamień węgielny. Roboty trwały do 1597 roku, kiedy to pokryto dach wieży miedzianą blachą. Osobą, której Mirsk zawdzięczał ukończenie budowy był burmistrz Sommer. Wieża posiadała u góry obramowanie i obejście. Umieszczono na niej pozłacane herby – dominium oraz miasta. Wieża posiadała dwa prześwity, zbudowano ją z 24 cetnarowych kamieni, dzwon wydzwaniający godziny ważył 14,5 cetnara. Koszt budowy - 1500 marek. W międzyczasie zdążył już po raz pierwszy spłonąć, 23 lipca 1558 roku. Uwieńczeniem budowy było zainstalowanie zegara na wieży ratuszowej w 1599 roku. Ponowny pożar miał miejsce w 1642 r. i dość szybko, bo już w 1644 r., został odbudowany. Wieża musiała poczekać do 1647 roku. 4 lipca tego roku zakończono odbudowę wieży ratusza, 20 sierpnia założono na niej kulę i chorągiewkę, a 26 lipca umieszczono w wieży zegar i zawieszono nowy dzwon. Kolejne pożary ratusza miały miejsce 20 lipca 1699 oraz 8 września 1767. Ten ostatni pożar strawił całe miasto. Relacja naocznego świadka, zachowana w kronice Bergemanna, przedstawia zdarzenie tego dnia następująco: „Ratusz z wieżą i zegarem oraz komorą solną i akcyźną spłonął. Podobnie spaliła się kancelaria i registratura ratuszowa, a także „Piwnica Ratuszowa". Spłonęły wszystkie dokumenty, przywileje i inne pisma. Uratowane zostały dwa stare cesarskie przywileje, które wyniósł z ognia pisarz miejski Dittrich" oraz „Wieża ratuszowa została tak przepalona, że w dwu miejscach widać było prześwit, pod wieczór uległa zawaleniu. Szalejący wiatr, dokumenty papierowe z ratusza, które nie spłonęły, rozniósł po całej okolicy. Znajdowano je koło gryfowskiej bielarni, a także na polach pomiędzy Uboczem a Rząsinami." Odbudowa ratusza została zakończona 7 czerwca 1774 roku, wieży - 25 października 1796 roku. Prace wykonał majster budowlany Franciszek Antoni Fliegel, a koszt budowy wyniósł ok. 990 talarów. 25 października osadzono na wieży jej zakończenie, gałkę oraz szpic, na którym znajdował się orzeł i Słońce. Wieża w całości mierzyła 83 łokcie (48 metrów). W wyniku tej odbudowy, połączonej też z modernizacją, nadana została zespołowi ratuszowemu obecna forma. Zmiany dotyczyły rozszerzeniu funkcji wieży ratuszowej, np. w 1782 r. w górnej części wieży umiejscowiono celę więzienną. Od zakończenia odbudowy pomieszczenia ratusza i wieży ratuszowej podlegają dość częstym modyfikacjom. W 1805 r. na ratuszu obok sali posiedzeń dobudowano salę sądową i salę mieszczańską, parter zajmowała m.in. kamera solna (do 1810 roku), miejska waga i mały areszt, nazywany przez mieszkańców „das Madelloch" („Dziewczęca dziura"), a piwnicach znalazły swą lokalizację dwa składy: jeden na piwo, a drugi na inne napoje alkoholowe. W 1849 r. dobudowano dwa pomieszczenia dla użytku Sądu Powiatowego. W 1858 r. urząd podatkowy wyprowadził się do swoich własnych biur na mieście, a zwolnione pomieszczenia przejęła policja, której obecność w Mirsku zaczyna się od 1856 roku, a komisarzem był mirski burmistrz. W 1867 roku była ukończona północna zabudowa ratusza, a na jej parterze urządzono pokoje gościnne, na piętrze zaś mieszkania dla dzierżawcy „Ratuszowej Piwnicy". W 1880 r. w zachodniej części ratusza urządzono dwie cele, jako areszt przy miejscowym posterunku policji. W tym samym czasie sąd wyprowadził się do swojego nowego budynku, a zwolnione pomieszczenia przekazano Zarządowi Miasta. 24 lipca zabrano dzwon z wieży ratuszowej. Był on odlany w 1802 roku w Jeleniej Górze i nosił napis „EX Aerario Civitatis. Sub Cons. Engmann. Senat: Strehla, Braunschke, Hahn Fried.Tribun: Weise. Da Horam Martia beatam. Me fodit Chr.Fr.Seifort" Na nowe dzwony ratusz musiał czekać do 1921 r., gdy zawieszono nowe, stalowe. Wcześniej jednakże urządzono, wg planów architekta Val. Siedler'a z Jeleniej Góry, nową „Piwnicę Ratuszową", w której znalazła też pomieszczenie „Winiarnia". Stało się to w 1919 roku. Można rzec, że wzmiankowana tu „Piwnica Ratuszowa" stanowiła od początku istnienia ratusza jego podstawę w sensie dosłownym (wszak zajmowała piwnicę i częściowo parter) jak i ekonomicznym (od 1556 do 1766 roku stanowiła jedyne miejsce, w którym legalnie pędzono gorzałkę, dopiero w tym roku prawo to uzyskały gospody „Pod złotym mieczem" i „Pod złotym lwem" oraz apteka). Systematycznie, zwłaszcza w XIX wieku, była też rozbudowywana. Z zapisków kronikarzy można odnieść wrażenie, że każde zwalniane pomieszczenie na parterze ratusza było w tym okresie niezwłocznie przyłączane do „Piwnicy". Nie robiono by chyba tego, gdyby nie przynosiło to wymiernych dochodów...

Mirski ratusz z fontanną i misiem na pierwszym planie.

Widok na południową ścianę ratusza.

W okresie PRL wieża została odnowiona i częściowo pokryta nową blachą (ocynkowaną) w roku 1977. Remont ratusza trwał wtedy 2 lata – do 1979 roku. Ostatni rok w dziejach ratusza to cieszący każdego miłośnika naszego miasta remont dachu, dzięki któremu ratusz zyskał na wyglądzie.

Na zakończenie może jeszcze słów kilka o ucieczkach z ratuszowych aresztów. Nie było to może Alcatraz lecz w kronikach znalazłem zaledwie jeden przypadek pomyślnej ucieczki. 21 marca 1787 roku (pięć lat po ulokowaniu aresztu, choć 9 lat przed zakończeniem odbudowy wieży) osadzono w celi w ratuszu chałupnika z Mroczkowic, Gottlieba Scholza. Oskarżono go o kradzież i rabowanie na drogach. Złapany został on na terenie Czech, koło miejscowości Serbska i doprowadzony do Mirska. Więziono go tu w górnej części wieży ratuszowej. Na skutek złego dozoru w nocy z 25 na 26 maja więzień przebił sklepienie, z podartej pościeli ukręcił sobie sznur i w ten sposób uciekł na dach ratusza. Tu przez okienko w dachu dostał się do wnętrza, stąd na rynek i zbiegł w nieznanym kierunku.

Niewątpliwie wielkim uporem ce-

chował się rabuś - kłusownik Preusler ze Świeradowa. Od 22 września 1807 roku był więziony w wieży ratuszowej. Trzy razy usiłował z niej uciekać. Pierwsza próba polegała na wyskoczeniu nocą przez okno. Upadek był jednak fatalny i zdołał tylko doczołgać się do karczmy w Giebułtowie, gdzie go schwytano i na taczce odwieziono z powrotem do celi. W czasie drugiej próby wyważył dwoje drzwi w wieży ratusza lecz schwytano go przy głównej bramie ratusza. Trzecia próba, podobna do tej udanej ucieczki, polegała na przebiciu podłogi celi. W międzyczasie jednak zmodernizowano nieco celę i podłoga była podwójna. Ostatecznie skazany został na przymusową pracę przy budowie twierdzy w Nysie, ale zanim go tam odtransportowano przebywał stale pod strażą żołnierzy francuskich.

Feliks Chojnacki

Jak to z bawełną w Giebułtowie było...

Już w XVIII wieku wzmiankowano o tkactwie w Giebułtowie. W przeszło 190 warsztatach chałupniczych tkano bawełnę i len. Około 1900 roku powstało przedsiębiorstwo Marfeld i Syn (oddział Nr 2). Była to tkalnia mechaniczna, produkująca tkaniny surowe lniane oraz częściowo chusteczki bawełniane.

W 1915 roku (oddział Nr 1) przedsiębiorstwo kupuje Gustaw Winkler, kupiec z Berlina, a firma przyjmuje nazwę Gustaw Winkler KG, odbywa się tu tylko produkcja chusteczek bawełnianych. W 1933 roku dochodzi do przekształcenia firmy w przedsiębiorstwo Marfeld i Spółka. Towarzystwo Handlowe jawne (oddział Nr 2). W lipcu 1943 roku firmę Weberei (tkacka) Marfeld&Co (oddział Nr 2) przejmuje wojenny przemysł lotniczy III Rzeszy jako Aerobau H. Lehmann KG i włączony jest w skład kompleksu GEMA Werke (radary i radiolokacja).Produkowano tu części do samolotów oraz tkaninę ze sztucznego jedwabiu na spadochrony. W Giebułtowie (Gebhardsdorf) utworzono podobóz kobiecy i męski, stanowił on filię obozu Gross Rossen. Pod koniec 1944 r. znajdowało się w nim 300 Żydówek pochodzących z Węgier. W grudniu tego roku przywieziono 200-osobowy transport Żydówek polskich z Oświęcimia. Zachował się opis obozu z relacji byłej więźniarki, Hadesy Helberstadt: „*Żydówka z Polski pełniła funkcję starszej obozu (...) Mieszkałyśmy w pokojach; były tam szafki, czyste naczynia, Waschraumy (*umywalnie*). Pomieszczenia mieszkalne były bardzo czyste. Więźniarki spały na podłodze, przykryte kocem. W obozie woda była tylko zimna, bielizny nie zmieniano, mydła było mało (1 kawałek na miesiąc) tak, że pierwszy zachwyt zmienił się powoli w rozczarowanie. Pranie było surowo wzbronione, a czystość trzeba było zachować. W dzień więźniarki pracowały, w nocy - nielegalnie - prały, co w znacznym stopniu wyniszczało siły kobiet. Pracowano na 2 zmiany, w dzień i w nocy. W niedzielę po nocnej zmianie nie pozwalano spać, gdyż ten dzień, jako dzień odpoczynku, był przeznaczony na generalne sprzątanie. W łagrze były dwa bloki, w jednym mieszkały Węgierki, w drugim Polki. W każdym pokoju mieszkało 40 kobiet. Na terenie obozu znajdował się również dwupiętrowy budynek. Na pierwszym piętrze znajdowały się 2 Stuby, Essraum (*jadalnia*), 2 Waschraumy; pokój w budynku był średniej wielkości, więźniarki spały tu również na podłodze. Drugie piętro obejmowało 3 Stuby, izbę chorych, 2 Waschraumy*".

Kobiety pracowały w zakładach przemysłu lotniczego (Flugzeugwerk Aerobau) znajdujących się w fabryce Merfelda. Praca była bardzo uciążliwa i niebezpieczna dla zdrowia. Płyny z maszyn i smary powodowały tworzenie się wrzodów i innych chorób skóry. Robotnice miały kontakt z cudzoziemskimi robotnikami przymusowymi, których obóz znajdował się także w Giebułtowie, ze względu na większą możliwość poruszania się, pomagali więźniarkom dostarczając żywność. Poprawnie zachowywał się personel niemiecki, m.in. majstrowie, pomagając nieraz więźniarkom. Wyżywienie pogarszało się w miarę upływu czasu. Śniadanie składało się z zupy i bochenka chleba na 4 osoby (później na 7 osób). Obiad był spożywany na terenie fabryki, w kantynie. Dwa dania: zupa i kartofle w łupinach z gulaszem, czasem kasza lub budyń. Kolacją były kartofle w łupinach. Personel obozu składał się z Lagerführerin (komendantka obozu), Aufseherinek (strażniczek) oraz Lagerälteste (starszej obozu) - więźniarki, polskiej Żydówki, komendantka obozu nazywała się prawdopodobnie-Kommandantführerin Lydia Dynel (lub Lynel). Komendantka biła i szykanowała więźniarki, w czym pomagała jej szczególnie, określana jako najgorsza, esesmanka Greta. Jest informacja o zamęczeniu przez komendantkę na śmierć umysłowo chorej przez bicie i polewanie wodą na mrozie. Izba chorych była kierowana przez lekarkę, Żydówkę holenderską, lecz do „leczenia" przyjmowano tylko chorych z temperaturą ok. 40 °C. Obóz został ewakuowany 18 stycznia 1945 roku. Więźniarki przebyły pieszo ok. 60 km do AL. Kratzau (Chrastava). Miały tam kontakt z niesławnym Mengele. Z Kratzau przeprowadzono je do obozu w Georgenthal, gdzie pozostały Żydówki węgierskie, Żydówki polskie zostały wysłane dalej, ich los nie jest znany.

Po wojnie, w 1950 roku, wszystkie cztery zakłady włączono do Mirskich Zakładów Przemysłu Bawełnianego z siedzibą w Mirsku. Oprócz oddziałów zlokalizowanych w Giebułtowie i Pobiednej, w strukturze przedsiębiorstwa znajdował się również Oddział Nr 5 w Gryfowie Śląskim. W latach 60-tych siedzibę przedsiębiorstwa przeniesiono do Giebułtowa i zmieniono nazwę na Giebułtowskie Zakłady Przemysłu Bawełnianego. W latach siedemdziesiątych-w myśl ówczesnej polityki tworzenia dużych przedsiębiorstw, tzw. Wielkich Organizacji Gospodarczych (WOG)- Giebułtowskie Zakłady Przemysłu Bawełnianego połączono z Lubańskimi Zakładami Przemysłu Bawełnianego. Po 1982 na fali strajków i postulatów protestujących, ponownie wyodrębniono Giebułtowskie Zakłady Przemysłu Bawełnianego ze struktur lubańskiej „Bawełny", jednakże bez oddziału gryfowskiego. W latach 90-tych branża przeżywała poważny kryzys, który w efekcie doprowadził do upadłości Giebułtowskich Zakładów Przemysłu Bawełnianego. W grudniu 1992 roku majątek firmy przejął pod swój zarząd Syndyk Masy Upadłościowej. I tu zaczęła się bardzo burzliwa historia związana z dzierżawieniem, następnie wykupem poszczególnych wydziałów zakładu przez rodzinę Markiewiczów. W lipcu 1991 roku powstało Przedsiębiorstwo Produkcyjno-Usługowo-Handlowe WOMAREX Halina

Fot. Jolanta Szczepańczyk

Wywóz złomu z oddziału przygotowawczego.

Markiewicz. W tym samym roku PPUH WOMAREX wydzierżawiło od GZPB Oddział Nr 4, zlokalizowany w Pobiednej. W styczniu 1993 roku właścicielem firmy został Wojciech Markiewicz. Zmianie uległa jednocześnie nazwa przedsiębiorstwa na Zakłady Tkackie WOMAREX Wojciech Markiewicz. W tym samym roku Zakłady Tekstylne WOMAREX odkupiły będący dotychczas w dzierżawie Oddział Nr 4, a dwa lata później całe przedsiębiorstwo od Syndyka Masy Upadłościowej Giebułtowskich Zakładów Przemysłu Bawełnianego. Następuje kolejna zmiana nazwy firmy na Zakłady Bawełniane WOMAREX Wojciech Markiewicz. Pięć lat później, w 2000 roku powołano do życia Zakłady Tekstylne WOMAREX Sp. z o.o., w pełni kontrolowane przez rodzinę Markiewiczów. Na początku Spółka dzierżawiła część obiektów, po czym stopniowo zaczęła przejmować majątek Zakładów Bawełnianych, których działalność zakończono w połowie 2006 roku. Wygląda na to, że przestaliśmy wycierać nosy w bawełniane chusteczki i ten rodzaj produkcji przestał przynosić krociowe zyski z lat komunizmu, kiedy to we wszystkich krajach bloku wschodniego ocierano pot z czoła w nasze Giebułtowskie chusteczki. W WOMAREX Sp. z o.o. w latach 90-tych do końca 2008 produkowano tkaniny bawełniane: pościelowe, tetrę, gazę, flanelę, drelich, surówkę bawełnianą oraz tkaniny bawełnopodobne. Otworzono na jakiś czas szwalnię, gdzie szyto pościel i obszywano chusteczki. Produkowano także tkaniny techniczne. W latach świetności pracowało tu około 1600 osób na trzy zmiany. Wygląda na to, że rok 2009 zapisze się w historii Giebułtowa niechlubną kartą upadku mechanicznego tkactwa w stulecie jego istnienia.

Pierwsze dni listopada dla Giebułtowian były widowiskiem wywożenia złomu z hali oddziału przygotowawczego. Wyglądało to o tyle smutno, że każda rodzina związana była z zakładem. Pracowały tu całe pokolenia od momentu przyjazdu na te tereny w latach powojennych. Ogromne, kilkudziesięciotonowe samochody przejeżdżały przez całą wieś, wioząc pocięte krosna i elementy konstrukcyjne hali oddziału przygotowawczego oraz wszystkiego, co się dało oderwać od ścian. Kolejnym miejscem spustoszenia stał się skład opału, skąd wybrano żelbetowe płyty. Wieść gminna niesie, że to posunięcia gospodarcze kolejnego w historii zakładu Syndyka Masy Upadłościowej. Dodatkowo od kilku miesięcy na portalach gospodarczych widnieją ogłoszenia o wyprzedaży maszyn tkackich i osprzętu do produkcji tkanin. Ale „-nic to-" jak mawiał pułkownik Wołodyjowski, trzeba powrócić do tradycji tkania w domach. 100 lat to kawał czasu w historii każdej miejscowości! Niech ten artykuł będzie namiastką pamięci o wszystkich związanych z tkactwem w Giebułtowie.

JOLASZ

Źródła- www.womarex.apnet.pl/, http: /www.goryizerskie.pl/

Katolicki Kościół w Proszowej

Pierwszy kościół lub kaplica powstał prawdopodobnie w Proszowej, ponieważ kapliczka Wolfganga, położona w górach była zbyt mała, aby pomieścić coraz większe tłumy przybywających pielgrzymów. Dlatego ówcześnie rządzący podjęli decyzję o wybudowaniu większego kościoła w Proszowej.

Z tego kościoła nie pozostało obecnie nic, nawet nie wiadomo dokładnie, w którym miejscu on stał. Budowa kościoła rozpoczęta została przez katolików pomiędzy końcem 1400, a początkiem 1500 roku, niedługo przed Reformacją Ewangelików w roku 1517, kierowaną przez Johannesa Hessa. W wyniku tych ruchów reformacyjnych ludność zmieniła religię: katolicy przeszli na ewangelizm. Dlatego to inwestorzy kościoła przyjęli projekt podobny do projektu katedry ewangelickiej „ Nachtegal von Wittenberg". W roku 1576 zaczyna się z kolei kontrreformacja Jezuitów. I znów zmiana religii.

Budowa obecnego rzymskokatolickiego Kościoła rozpoczęta została przez ewangelickich chrześcijan na przełomie XVI i XVII wieku. 25 lutego 1654 roku ,kiedy to wszystkie kościoły ewangelickie zostały przejęte przez ówczesnego katolickiego cesarza, kościół w Proszowej zostaje przekazany katolikom. Budowla zostaje przebudowana tak, że w późniejszym jej stadium można już mówić o bardziej barokowym stylu. Kościół i cmentarz zostały otoczone murem. Chrzcielnica pochodzi z roku 1525, czyli prawdopodobnie wywodzi się jeszcze z pierwszego kościoła. W kościele wisiały trzy dzwony. O największym z nich nie jest nic wiadomo. Natomiast średni dzwon, który został odlany w Gierczynie, posiada następującą inskrypcję:

Blumendorf
Kwieciszowice

O mensch eil zu gottes wort bedenket
das end gewis komt der tod
zum lobe gotes bin ich gosen
im 1602 jar
haben die gemein kunzen und plundorf
diese glocke gezegnet
hans feist scholz zu ku
matz sammler zu plu
jerge kromer merten
deiner kirchveter

W wolnym tłumaczeniu brzmi to następująco:

Człowieku podążaj za słowem bożym
na koniec nadejdzie na pewno śmierć
na chwalę bożą jestem odlany
w roku 1602
gminy Kunzendorf (Proszowa) i Blumendorf (Kwieciszowice)
pobłogosławili ten dzwon
Hans Feist sołtys Proszowej
Matz Sammler sołtys Kwieciszowic
Jerge, Kramer i Merten
Wasi ojcowie kościoła

Katolicki kościół, ewangelicki kościół i plebania w roku 1752. Przed pożarem w roku 1885 wieża kościoła miała inny kształt.

Najmniejszy, dzwon o wysokości 60 cm, nie posiadający inskrypcji, pochodził z kapliczki Wolfganga.

W 1880 roku w pożarze kościoła dzwony ulegają zniszczeniu. Zakupiono wówczas trzy nowe dzwony, ale dźwięki, które wydawały były złe, ponieważ do odlewów zastosowano bardzo metal nieodpowiedniej jakości.

Podczas I Wojny Światowej dwa z dzwonów przetopiono na amunicję. Trzeci dzwon wymieniono na dzwon z Rybnicy. I tak później, po przegraniu wojny, dzwon ten staje się zdobyczą wojenną…

Relacje w Parafii Proszowa pomiędzy katolikami a ewangelikami były zawsze dobre. Ponieważ ewangelicy nie posiadali własnych dzwonów, katolicy uruchamiali dla nich swoje dzwony…

W roku 1927 Kwieciszowice zamieszkiwało 377 mieszkańców, w tym 23 katolików i 354 ewangelików.

Erik Weijs

Kiosk Pana Stanisława Strońskiego, czyli osobisty koniec pewnej epoki

„Człowiek jest tyle wart ile dobrego da innym”

Codziennie przechodziliśmy koło kiosku usytuowanego na rogu Pl. Wolności i ul. Betleja w Mirsku. Zaglądaliśmy tam, kupując potrzebne drobiazgi, gazety i czasopisma. Wielu z nas zatrzymywało się na dłużej, aby choć chwilkę porozmawiać, wymienić poglądy na jakiś aktualny temat, który znalazł się na pierwszych stronach prasy. Lubiliśmy po prostu pogadać o życiu, o tym co nas boli i z czego jesteśmy radzi. Zawsze można było odnieść wrażenie, że czekał właśnie nas…

Kresy

Urodziłem się 25 maja 1941 r. w Dunajowie niedaleko Lwowa, na wschodzie przedwojennej Rzeczypospolitej. Żyło się nam, jak na tamte czasy, nawet nieźle. Dziadek 20 lat pracował w Ameryce, przesyłając ciężko zarobiony grosz babci, która kupowała ziemię. Ile dokładnie jej było, nie pamiętam, ale po wejściu wojsk sowieckich okazało się, że zostaliśmy uznani za kułaków (bogatych gospodarzy), wrogów ludu, których trzeba jak najszybciej się pozbyć, wysyłając do obozu na Syberię. Dzięki dobrym ludziom zostaliśmy ostrzeżeni. W nocy udało się nam uciec i schronić u rodziny na wsi. Tak przeżyliśmy wojnę. Radość tego wydarzenia została stłumiona wielką obawą o to, co nas czeka w najbliższej przyszłości. Rozpoczęła się fala wymuszonych wyjazdów ze wschodu na zachód, która porwała naszą rodzinę. I tak dotarłem razem z mamą, babcią i trzema braćmi w towarowym wagonie do Jeleniej Góry. Na szczęście mieliśmy z sobą krowę, której mlekiem żywiliśmy się całą drogę. Odrobinę ciepła zapewniał nam mały piecyk tzw. „koza”. Jakaż była radość kiedy w nieznanym mieście przywitał nas powracający z frontu ojciec.

Dzieciństwo i lata młodzieńcze

Z całą rodziną dotarliśmy do Mroczkowic, gdzie zamieszkaliśmy domu pod numerem 33. Ojciec jako osadnik wojskowy, oprócz gospodarstwa, otrzymał także ziemię. Powoli rodzice zaczynali gospodarować na nowym, a ja trafiłem do czteroklasowej szkoły podstawowej, która wtedy funkcjonowała w Kamieniu. Podstawówkę ukończyłem w Mirsku. Następny etap to szkoła zawodowa w Jeleniej Górze, gdzie 3 lata uczyłem się zawodu piekarza. Po szkole podjąłem pracę w piekarni. Rodzina się nam powiększała, rodziły się kolejne dzieci, było ciężko. Pomagałem rodzicom pracując z nimi na gospodarce. Przyszedł wreszcie czas na wojsko i na dwa lata poszedłem służyć w armii.

Klubo-kawiarnia w Mroczkowicach

Po powrocie zostałem animatorem życia kulturalnego w naszej wsi. W nieistniejącym już budynku usytuowanym w Mroczkowicach, na skrzyżowaniu pomiędzy drogą na Świeradów Zdrój, a obecnym domem Pana J. Stąpora istniał klub, a właściwie jak się kiedyś mówiło: klubokawiarnia. Szybko przyzwyczaiłem się do nowej pracy, która sprawiała mi radość. Organizowałem tam potańcówki, spotkania młodzieżowe i wiele innych imprez, w których pomagała mi pani Teresa Malczewska. Wśród wielu dziewcząt, które przychodziły do klubu ujrzałem tę jedną, przy której serce mocniej zabiło. Zwróciła moją uwagę nie tylko urodą, ale również inteligencją, spokojem i pracowitością. Wielu młodych chłopców smaliło do niej cholewy. Ona wybrała mnie. Pomagała mi w pracy: parzyła kawę, herbatę, sprzątała. Prowadziła też kasę, sprzedając różne artykuły.

Nie spodziewałem się, że od tego momentu moje życie potoczy się jakby z góry ustalonym torem. Znalazłem tam żonę i zawód. Zostałem sprzedawcą prasy. 15.03.1967r. roku podpisałem umowę z Robotniczą Spółdzielnią Wydawniczą „Prasa-Książka-Ruch”.

Z kiosku do kiosku

W rok po ślubie przenieśliśmy się z moją żoną Janiną do Mirska. Namówiłem ją do zajęcia się handlem. Otrzymaliśmy do zagospodarowania kiosk, który stał w miejscu obecnej apteki przy Placu Wolności. Zmieniano nam lokalizację chyba ze trzy razy, aż na początku lat 90-tych trafiliśmy tu do tego narożnego budynku, przejmując kiosk od Pana Wasilewskiego. Tamte czasy bardzo różniły się od dzisiejszych. Ludzie stali w kolejkach za wieloma deficytowymi wtedy artykułami, począwszy od gazet, przez papierosy i mydło, a skończywszy na przysłowiowym papierze toaletowym. Bardzo często nie starczało dla wszystkich towaru. Wiele osób odchodziło zdenerwowanych od lady, a człowiek zostawał z poczuciem winy.

Później, razem z historycznymi zmianami w naszym kraju, przyszedł nowy system ekonomiczny. Musieliśmy przejść na własny rozrachunek. W taki trochę przymuszony sposób powstała mała rodzinna firma. Bywałem kierownikiem, sprzedawcą, sprzątaczem i ekonomistą w jednej osobie. Oczywiście we wszystkim pomagała mi żona. Bez jej pomocy samemu trudno byłoby to wszystko udźwignąć. Pojawiły się nowe problemy, o których wcześniej nie miałem zielonego pojęcia, ale dzięki Bogu jakoś wszystko powoli szło do przodu. Najważniejsze, że ludzie chcieli korzystać z naszych usług. Przychodzili nie tylko po prasę, ale po prostu aby pogadać. Można odnieść wrażenie, że życie zatoczyło jakiś krąg. Zarówno klubo-kawiarnia w Mroczkowicach jak i kiosk w Mirsku były miejscem spotkań i wymiany poglądów. Jakąś część tej atmosfery udało nam się zachować. Chyba tego mi najbardziej będzie brakowało…

Epilog

Nie mogłem do końca uwierzyć, że to już koniec. Krzątaliśmy się, wyprzedawaliśmy resztki towaru. Kiosk stawał się coraz bardziej pusty i coraz bardziej tę pustkę czuliśmy w sobie. Nasi wieloletni klienci przychodzili nadal, rozmawiali, ale było już jakoś inaczej. Czuć, że coś się skończyło na zawsze. Jakiś żal wypełniał serce, gdy przed oczami przechodziły wspomnienia. A tu jeszcze tyle roboty, trzeba było wszystko pokończyć, rozwiązać umowy, policzyć rachunki i na końcu zdać lokal. Robiłem remanent kiosku, a wychodził z tego remanent całego życia zawodowego… I tak po ponad 50-ciu latach pracy, w tym 42 w handlu, odejść trzeba było na emeryturę.

Chciałbym, aby spełniło się powiedzenie mojej babci:„ Miej w życiu więcej przyjaciół niż wrogów”.

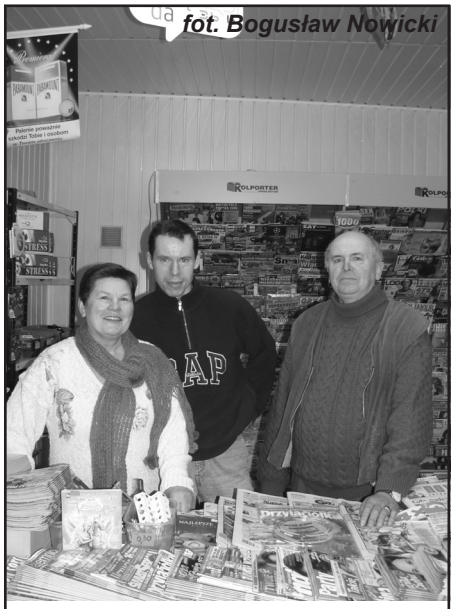

Pan Stanisław Stroński z żoną Janiną i synem.

Na podstawie osobistych notatek Pana Stanisława i zapisków z rozmowy tekst opracował
Bogusław Nowicki

Podróż do Krainy Bajki i w świat podziemi, czyli kolejna weekendowa wycieczka-ucieczka

Niespełna 50 km od Mirska znajdują się Kowary, jeszcze do niedawna słynące z produkcji dywanów. Dzisiaj mogą być celem niecodziennej podróży.

W 2003 r. na terenie dawnej fabryki dywanów powstał Park Miniatur Dolnego Śląska. Budowle wykonane w skali 1: 25 i ich otoczenie, przeniosą nas w inny wymiar. Stajemy oko w oko z wieżą kowarskiego ratusza, do naszych uszu dociera przepiękne brzmienie organów w Krzeszowie, czy wreszcie , bez jakiegokolwiek wysiłku, zdobędziemy najwyższy szczyt Karkonoszy- Śnieżkę(1602 m n.p.m.) Zwiedzający przez cały rok mogą obejrzeć miniatury pałaców, zamków, kościołów, ratuszy, schronisk górskich czy wreszcie całych kompleksów urbanistycznych, znanych z podróży po Dolnym Śląsku. Otoczenie budowli stanowią pojedyncze drzewa, krzewy, kwiaty, kompleksy roślinności parkowej, leśnej . Lekkie pochylenie ciała pozwoli nam skryć się za murami obronnymi Zamku Czocha, możemy zajrzeć do okien odrestaurowanych pałaców w Łomnicy, spojrzeć z wieży Kościoła Garnizonowego w Jeleniej Górze, ulec urokowi Domów Dwunastu Apostołów w Chełmsku Śląskim. Nie trzeba pokonywać odległości 100 km, aby ujrzeć w całej okazałości Zamek Książ i jego parkową oprawę, w ciągu kilku minut przejdziemy od Kościółka Wang w Karpaczu do Kościoła Św. Maternusa w Lubomierzu, a stąd już całkiem blisko do Kościoła Pokoju w Świdnicy, obiektu wpisanego na Światową Listę Dziedzictwa Kulturowego UNESCO.

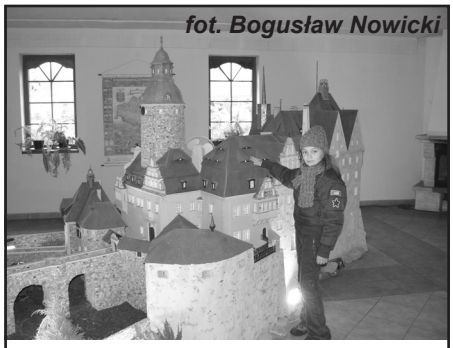

Makieta Zamku Czocha i Natalka.

Park Miniatur czynny jest przez cały rok. Niezależnie od aury poznamy jego uroki. Ceny biletów wstępu: dorośli- 13,00zł, dzieci- 9,00zł, a osoby poniżej metra wzrostu-wstęp wolny. W pawilonie wystawowym możemy napić się kawy, kupić pamiątki, poznać historię parku. Park możemy oglądać sami, bądź w towarzystwie przewodnika (usługa jest zagwarantowana w cenie biletu wstępu). I bardzo ważna uwaga : zachowajmy bilety : udając się do położonych w sąsiedztwie sztolni, otrzymamy 10% zniżkę (dla rodziny jest to znacząca kwota do odzyskania!)

Kierując się oznakowaniami przy wyjeździe z terenu zakładu, skręcamy w prawo i bacznie obserwując drogę, jedziemy do sztolni kowarskich. Ostatni odcinek drogi jest niezbyt urokliwy, typowo polską (czytaj z dziurami) nawierzchnią wspinamy się nieco pod górę, aby pozostawić samochód na ostatnim parkingu. Tuż przy wjeździe pod górę spotkamy parking płatny, nie zatrzymujmy się na nim, bo niepotrzebna opłata, a przede wszystkim daleko do celu. Zaparkowawszy pojazd udamy się na niedługi spacer po lesie, kierując się oczywiście znakami. Po ok. 20 minutach dojdziemy do sztolni. Jeśli czas pozwoli (wejścia są o pełnych godzinach), posilmy się w małym barku.

W dawnej kopalni rud uranu udostępniono ponad kilometrową trasę do przejścia. W wyrobiskach sztolni poszukiwawczej doznamy wielu wrażeń. Oprócz miejsca (podziemie!) wspaniały, zwłaszcza dla alergików, klimat: powietrze o stałej temperaturze ok. 7°C, wilgotności 97%, do tego zawartość radonu. W trakcie przejścia chodnikami wyrobisk czy labiryntem Uranosa, poznamy techniki wydobywcze, a najmłodsi turyści zachwycać się będą ukrytym Skarbem Walonów. Ten zbiór minerałów, kamieni szlachetnych, kruszców i kopalin uzmysłowi nam, jak „bogate" są Sudety.

Wnętrze góry Sulicy kryje tajemnice ludzi związanych z tym miejscem. Przed II wojna światową Niemcy, oprócz rudy żelaza eksploatowali rudę uranu, wykorzystywaną do badań jądrowych. Wraz z wyzwoleniem okolicy, Rosjanie zajęli sztolnie, roztoczyli „opieką" to cenne dla zimnowojennej aury, miejsce. Nieopodal sztolni uruchomiono pod ich nadzorem Zakłady Przemysłowe R-1, zajmujące się pozyskiwaniem i przetwarzaniem rudy uranowej. Wyprodukowany tutaj koncentrat uranowy transportowany był drogą powietrzną do Związku Radzieckiego. Polacy zatrudnieni w kopalni i zakładzie podlegali szczególnej kontroli, klauzula „ściśle tajne" obowiązywała zawsze i wszędzie, nawet przy małym ciemnym nie można było wypowiedzieć się na temat pracy. Znane są przypadki tajemniczych zniknięć górników. W końcu ruda kowarska trafiała do laboratoriów, w których pracowano nad sowiecką bombą atomową. Do 1973 r. wydrążono 24 sztolnie o łącznej długości 24 km i średniej głębokości 500 metrów. Po likwidacji zakładu R-1 z części przedsiębiorstwa utworzono Zakład Doświadczalny Politechniki Wrocławskiej, a w 1974 roku uruchomiono inhalatorium. W podziemiach można zobaczyć salę przeznaczoną do inhalacji. W 2000 r. oddano dla turystów Podziemną Trasę, a w 2004 – ponownie inhalatorium. Nadmienić należy, iż należy ono do nielicznych na świecie. Trudno uwierzyć, że przez wiele lat mówiono nam, że w Kowarach eksploatuje się rudę żelaza. Rudę uranu możemy zobaczyć w sztolni, proszę się nie obawiać, nie grozi nam napromieniowanie! Klimat miejsca jest niesamowity. Aura tajemniczości towarzyszyć będzie Państwu od chwili wyjścia z samochodu. Nigdy nie domyślilibyście się, że na stoku góry, wśród leśnych ostępów znajduje się to miejsce. Górna część Kowar odcięta była od „reszty" świata przez wojsko. Jadąc z górnego parkingu dostrzeżecie też ukryte wśród drzew dawne zakłady R-1.

Sztolnie kowarskie w sezonie zimowym (od listopada do marca)czynne są codziennie od 10.00do 16.00. Ceny biletów : normalny -19,00zł, ulgowy-15,00zł (pamiętajmy o uwzględnieniu zniżki po przedstawieniu biletu z Parku Miniatur!).

Poznaliśmy kolejny zakątek najbliższej okolicy. Wycieczka wraz z dojazdem zajmie Państwu ok.6 godzin. Nie musimy liczyć na sprzyjającą pogodę, co o tej porze roku jest raczej niemożliwe. Uzbrojeni w mapę drogową i pieniądze na bilety wstępu wyruszmy na trasę. Osobiście polecam dojazd przez Świeradów Zdrój, Szklarską Porębę , dalej Piechowice do Kowar. Po drodze mamy kilka atrakcji widokowych. Z powrotem możemy przejechać do Jeleniej Góry i dalej przez Pasiecznik, Chmieleń, Krzewie do Mirska.

Uzbrojeni w cierpliwość czekajmy na naszą Podziemną Trasę Turystyczną w Przecznicy!

Beata Nowicka

Z rodzinnego archiwum cz.6

Moje poglądy ukształtowały się na dwu podstawach: pierwsza, to fakt urodzenia i spędzenia najlepszych lat życia na tych ziemiach, nigdy nie dopuściłbym myśli, że urodziłem się na ziemi nie swojej. Druga, to wiadomości wyniesione ze szkoły.
Te dwa źródła na okres 1939 r. dostarczyły mi wiadomości, że:

Polska jest przedmurzem chrześcijaństwa, a jej kresy wschodnie, ich mieszkańcy, mają do spełnienia misję dziejową, ważną nie tylko dla Polski, ale dla całego zachodniego świata. Misja ta polega na daniu odporu barbarzyństwu ze wschodu i wymaga ofiar. Ten wschód utożsamiałem ze Związkiem Sowieckim, dla którego wszelkie zdobycze kultury, religia chrześcijańska, jej zasługi dla ludzkości nie były ważne, a wręcz zwalczane, a jej wyznawcy prześladowani. Dorobek rodzin od pokoleń, zdobyty ciężką pracą, wyrzeczeniami, nie był dla nich zasługą, a wręcz czynił te rodziny, wg wschodnich poglądów, wrogami społecznymi. Ci, których to dotyczyło nie mogli się absolutnie bronić przed taką kwalifikacją albo byli wręcz zadowoleni, że wreszcie tych „bogaczy" ukrócili. Zawiść z lat ubiegłych dała o sobie znać. Dobrze im tak – kiedyś panoszyli się.

Cierpiałem podwójnie :
- raz, jako wróg ludu – tutaj mistrzowskie pociągnięcie okupanta
- drugi raz, jako Polak.

Z powodu pierwszego – część społeczeństwa rdzennie polskiego nie miała żalu do nowego porządku, bo w zasadzie została wysunięta na plan pierwszy. Naturalnie, niewiele im się zmieniło, ale za to zyskali moralnie i obiecywano im świetlaną przyszłość. Poczucie patriotyzmu znikło, na pierwszy plan wysunęły się sprawy materialne. Powiedzenie „gdzie chleb – tam i Ojczyzna", znalazło tutaj swoje zastosowanie. Czy należy się temu dziwić? – pozostawiam osądowi. Mnie się wydaje, że do pewnego stopnia powiedzenie oddaje prawidłową ocenę sytuacji. Naturalną potrzebą człowieka jest zaspokajanie głodu i jeśli zbyt często ten głód, czysto fizyczny, daje o sobie znać, lub co gorsza, staje się przyczyną chorób, wtedy jest źle, co to za Ojczyzna, która nie jest w stanie nakarmić swoich dzieci! Czy należy się tym ludziom dziwić, że za obietnicę zaspokojenia głodu, za obietnicę i realizację gnębienia tych, którzy byli rzekomą przyczyną ich głodu – poszli na współpracę z „wybawicielami" ?

Dzisiaj stawiam taką kwestię, kiedy przeżyłem życie, kiedy dużo widziałem, dużo przemyślałem. Wtedy uważałem, że naczelnym obowiązkiem jest obrona Ojczyzny, dzisiaj tę sprawy widzę inaczej, ale na to trzeba przeżyć życie.

A inni nie podlegający temu- cicho siedzieli i nic nie mówili.

Pozdrawiam Was doliny, góry
I tafle łąk zielonych,
Jam to wrócił puszcze moje
Do swoich pól stęsknionych.
Dziś witam Was rodzinne strony,
Drożyno w polu, szary stogu
I ciebie miły nieboskłonie,
I was splątane drogi…

(pisał w roku 1921 w wierszu „Do Białorusi" Jakub Kałas)

Moja ojczyzna 17 września 1939 r. przestała istnieć. Bo oto z zachodu już wcześniej wróg wtargnął, porozumiał się wcześniej z tym ze wschodu i wspólnie zgnietli moją Ojczyznę. Trochę to było za szybko, żeby chłopiec w zapadłej wsi mógł się zorientować, jak wygląda prawdziwy stan rzeczy. Wszystko to odbyło się jakoś bardzo zwyczajnie i jakoś jeszcze bardziej strasznie. Jedno tylko zdołałem zrozumieć, że wobec dwu takich potęg kraj nasz nie był w stanie się ostać. Ale została nadzieja. Mamy sojuszników, którzy w obronie naszych interesów, w obronie sprawiedliwości na świecie, nie zawahali się ogłosić stanu wojennego z naszymi wrogami. Wprawdzie my, w kraju znaleźliśmy się w jarzmie, ale część wojska znalazła się za granicą i już walczy u boku Francuzów, że Sikorki organizuje tę nową armię i tworzy nowy rząd polski na wychodźstwie. Jaki ja wtedy byłem i dumny z naszego wojska i nieszczęśliwy dlatego, że nie mogę być tam, gdzie rozstrzygają się losy Ojczyzny. Wprawdzie podjąłem próbę, aby się tam dostać, ale jakże żałosną. Moją największą wadą przez całe życie jest brak komunikatywności z innymi. Wielkie trudności w nawiązywaniu kontaktu z innymi. Swoje wzloty, upadki, niepowodzenia i sukcesy przeżywałem sam. Dlatego inni ze mną nie rozmawiali, a czasem uważali mnie za dziwaka, a to pogłębiało moją izolację.

Cechowała nie poza tym jakaś nadwrażliwość. Potrafiłem się zamknąć w sobie, jak uznałem, że ktoś nie podziela moich poglądów, zamiast przedyskutować spornych problemów.

Kontakty z organizacją podziemną nawiązałem dość wcześnie, bo już w październiku 1939r. otrzymywałem gazetki podziemne. Gazetki te rozprowadzałem wśród moich znajomych w Hrycowcach. Miałem jednak niejakie trudności w kontaktach ze starszymi, traktowali mnie jako młokosa i bali się, że przez nierozwagę mogę narazić ich na poważne konsekwencje. To też było powodem mojej depresji, która wynikała z niewiary innych w moje walory patriotyczne. Na pewno wyimaginowane przeze mnie. Każdy powinien przecież traktować kontakty nielegalne i każdy zdawał sobie sprawę z następstw. Dlatego też ich ostrożność powinna być brana pod moją uwagę. Tym bardziej, że okupant stosował ostre represje, nie mówiąc już o wykryciu nielegalnych spisków, ale za działalność w okresie międzywojennym.

Represjom w pierwszym rzędzie poddano policję, wojsko – a zwłaszcza oficerów i podoficerów. Dalej właścicieli majątków ziemskich, w zasadzie równocześnie w czasie wkroczenia wojsk i NKWD. Ci zostali wtrąceni do więzień lub wywiezieni w głąb Rosji, zostając materiałem do uruchomienia Katynia. A dla mnie ważna rzecz: pragnę dożyć chwili ukarania zbrodni katyńskiej. Czy sprawiedliwość dziejowa nastąpi, a może Katyń był aktem sprawiedliwości dziejowej? W głowie się mąci. Faktem jest, że Polacy ginęli i w Oświęcimiu i w Katyniu, w miejscach odosobnienia na wschodzie i na zachodzie, w obozach zagłady u hitlerowców i za drutami syberyjskich obozów Stalina. Czy jest między tymi ofiarami sprawy polskiej jakaś różnica? Więcej podaję tego co działo się na wschodzie. Po pierwsze dlatego, że byłem bezpośrednim Świadkiem tych wydarzeń, żyłem na wschodzie. Po drugie, o zbrodniach Niemców naczytałem się dostatecznie dużo.

Nie oznacza to wcale, że traktuję inaczej zbrodnie na wschodzie, a inaczej na zachodzie. Zbrodnia jest zbrodnią, niezależnie od tego, przez kogo jest popełniona. Oburza jednak, jeśli na każdym kroku pokazuje się zbrodnie Niemców – na co zresztą zasługują, a przemilcza się Katyń, Kaługę, masowe wywózki Polaków na Syberię. Mało tego, tych, którzy dokonali tych zbrodni, mieni się największymi naszymi dobroczyńcami, odznacza się ich najwyższymi odznaczeniami, gdyby mogli weszli by im w … Panowie, czy to nie przesada?

Opracował Jacek Krasnopolski

Zwyczaje weselne i narodzinowe u Etiopczyków i Asyryjczyków

Dalsza część artykułu z wrześniowego numeru „Izerów". Zbliża się czas Bożego Narodzenia, czas między innymi wesel. Warto poznać, jak dochodzi do ceremonii zaślubin wśród mieszkańców Wschodniej Afryki.

Dla Asyryjczyka małżeństwo jest przejściem młodego człowieka w dojrzałą i odpowiedzialną egzystencję. Młodzi poznają się na różne sposoby. Mogą to być zabawy podwórkowe, wspólnie wykonywane prace polowe, lata szkolne, a także wzajemne odwiedziny. Jeżeli córka gospodarza darzy szczególną sympatią syna gości, wówczas nie słodzi mu kawy. Jest to sygnał dla młodzieńca, aby zaczął o nią bardziej zabiegać. W społeczności asyryjskiej chłopak jest zwykle osobą oficjalnie poszukującą partnerki. Zdarza się, że pomagają mu w tym rodzice. Za niedołęstwo postrzegany jest brak zainteresowania z jego strony, czy też brak powodzenia u dziewcząt. Odpowiedni moment poszukiwania dziewczyny jest zdeterminowany przez sytuację majątkową rodziny, jej status społeczny, jak również osobiste plany kawalera. Chociaż Asyryjczycy stosunkowo wcześnie zawierają związki małżeńskie, wiek ten zawyża się wraz z postępującym rozwojem cywilizacyjnym tych obszarów, a także z kontaktem młodzieży z kulturą alternatywną, przywleczoną z Zachodu. Coraz częściej młodzi ludzie odkładają małżeństwo na później, aby nie stanowiło przeszkody w karierze. Co za tym idzie, młode pary coraz rzadziej decydują się na potomstwo. Nigdy nie można wybrać partnerki przypadkowo. Decyzja o małżeństwie musi być zaś dobrze przemyślana. Zdarza się, że rodzice ukierunkowują syna na kobiety z wyższych sfer. Jest to podyktowane niejako względami natury ekonomicznej jak i chęcią dorównania lepiej sytuowanym rodzinom. Jako że związek małżeński postrzega się jako połączenie nie tylko dwojga ludzi, ale także dwóch rodzin i ich krewnych, zaleca się koligacje w obrębie znajomych z sąsiedztwa, czy z innej wioski lub dalekich krewnych. Sprawa małżeństwa nie jest jedynie sprawą danej rodziny, staje się sprawą całej wioski. Im więcej osób ingeruje w sprawie trafnego wyboru przyszłej żony, tym lepiej. Wszystkim bowiem zależy na zachowaniu poprawnych stosunków społecznych. Dziewczyna oceniana jest przez młodzieńca głównie pod względem urody. W żadnym wypadku nie powinna przypominać Cyganki, czy muzułmanki. Rodzina chłopaka patrzy na nią przede wszystkim pod kątem pochodzenia rodowego, kultury osobistej, jak i wyglądu zewnętrznego. W przeważającej mierze liczy się pracowitość i przywiązanie do tradycji. Podobne kryteria obowiązują chłopca. Czasem rodzice wydają się być nieugięci w kwestii wydania swojej córki za mąż za pewnego przystojnego młodzieńca. Jeśli tak jest, a młodzi są zakochani w sobie po uszy, nie pozostaje nic innego jak tylko porwanie dziewczyny przez narzeczonego, którego szczegóły uzgadnia on ze swoją rodziną. Porwanie staje się absolutną koniecznością w przypadku, gdy rodzice proponują córce innych kandydatów, których darzy ona jeszcze większą niechęcią. Zawsze znajdzie się jakiś ksiądz, który bez problemu udzieli ślubu chłopakowi i jego narzeczonej, nie dopytując się o ich przeszłość.

Co do małżeństw zawieranych przez księży asyryjskich, są one regulowane przez odrębne przepisy kościelne. Zgodnie z nimi, ksiądz może ożenić się tylko raz. Kiedy małżonka umrze, może on dalej kontynuować karierę w hierarchii kościelnej. Duchowny taki ma największe szanse bycia wyświęconym na biskupa. W przeciwieństwie do prawa kanonicznego, obowiązującego w Etiopii, kapłan może zdecydować się na małżeństwo po ukończeniu seminarium duchownego i często po kilkuletniej pracy duszpasterskiej w swojej parafii. Jeśli wybierze karierę w hierarchii kościelnej, wówczas będzie obowiązywał go celibat. Jeśli jednak czuje powołanie doświadczenia posługi religijnej w swojej parafii, bez przeszkód może założyć rodzinę.

Wróćmy do omawiania asyryjskich tradycji ludowych związanych z zamążpójściem. O ile w Etiopii mediator zbiera informacje o kawalerze, czy też pannie, o tyle w Syrii przeprowadza się wywiady z różnymi osobami z wioski w celu uzyskania jak najwięcej informacji ona temat potencjalnej żony lub męża. Wywiadu można zaniechać gdy młodzi mieszkają obok siebie. Kiedy wyniki wywiadu wypadają pomyślnie, chłopiec niejako oficjalnie wyznaje swoje uczucie do dziewczyny za pośrednictwem starszyzny wioski. Rzadko jednak bywa ona zaskoczona taką niezwykłą wizytą. Na początku przybywają do jej domu swaci, jednakże bez zainteresowanego chłopaka. Wiążąca odpowiedź nigdy nie pada od razu. Kilkutygodniowe oczekiwanie ma na celu zebranie jak najwięcej informacji o kandydacie, a także sprawdzenie jego wytrzymałości. W wyznaczonym dniu, zwykle w sobotę wieczorem, zjawiają się swaci w towarzystwie kandydata, jego ojca i chrzestnego, jak również najbliższych krewnych. Przy wspólnej kolacji, mocno zakrapianej domowym alkoholem, podejmuje się decyzję co do daty ślubu. W tychże pertraktacjach nie uczestniczy przyszła małżonka. Świadkami wspólnie przeprowadzonych rozmów są ojcowie chrzestni i ksiądz, który odwiedza domowników w trakcie biesiady. W tzw. *okresie próby* młody mężczyzna musi dbać o narzeczoną i jej rodzinę, której pomaga w licznych pracach polowych. W każde święto kościelne rodzina narzeczonego piecze specjalne ciasteczka, które zanosi rodzinie przyszłej panny młodej. Poczęstunek ten symbolizuje, że dziewczyna została już włączona do rodziny narzeczonego. Podczas tygodnia poprzedzającego ślub, zwanego przez Asyryjczyków *próbnym weselem*, organizuje się wiele zabaw przygotowywanych w domach obojga narzeczonych. W spotkaniach takich mogą brać udział wszyscy chętni, nie tylko rodzina i krewni. Koleżanki ze wsi odwiedzają dziewczynę w czasie wieczoru panieńskiego i przynoszą jej różne podarunki, udzielają rozmaitych rad i pomagają w przygotowaniu stroju weselnego. Przyjęcie weselne organizowane jest zawsze w domu narzeczonego, a rodzina panny młodej nie uczestniczy nawet we mszy ślubnej. Zwykle wesela odbywają się w lecie. W przeddzień ślubu panna młoda wyprowadza się z domu rodzinnego w towarzystwie specjalnego orszaku. Muzykanci grają pieśni pożegnalne, a rodzina narzeczonej płacze. Najstarszy brat dziewczyny w końcu odprowadza ją do wyjścia, którego broni jej stryj. Nie puści ich, dopóki nie zostanie obdarowany zadowalającym prezentem. U Asyryjczyków jest taki przesąd, że dziewczyna udająca się do domu ojca chrzestnego jej przyszłego męża, w którym odbędzie się wieczór panieński, nie może spotkać po drodze kobiety, która urodziła w ciągu ostatnich czterdziestu dni. Może to utrudnić zajście w ciążę, a nawet zubożyć pokarm matki.

Po dotarciu do domu ojca chrzestnego rozpoczyna się zabawa, w której wszyscy goście biorą udział aż do późnych godzin nocnych. Muzykanci zazwyczaj grają na bębnie zawieszonym na brzuchu, czy też trąbce wykonanej z drewna. Czasami pojawią się skrzypce. W drodze powrotnej z kościoła nowożeńcy zatrzymują się na

chwilę przy każdym domu, gdzie są witani przez gospodarzy i hojnie obsypywani pszenicą i słodyczami. Każdy życzy im wszystkiego dobrego na nowej drodze życia. Panna młoda otrzymuje mnóstwo prezentów, a najpopularniejszym z nich jest chusta na głowę, którą od tej pory winna nosić jako mężatka. Następnie pan młody opuszcza tłum i staje na schodach domu. Podaje mu się szklankę domowego wina, a także trzy dorodne jabłka, którymi będzie rzucał w kierunku zebranych gości. Jeśli jakiemuś kawalerowi uda się złapać jabłko, oznacza to, że wkrótce się ożeni. Trzecie jabłko usiłuje wyrwać panu młodemu z rąk jego ojciec chrzestny. Rytuał ten ma zapewnić parze młodej zarówno szczęście jak i dużo dzieci. W międzyczasie starsza kobieta podaje pannie młodej miskę śmietany po to, aby umoczywszy uprzednio w niej palec uczyniła znak krzyża na drzwiach domu. Następnie panna młoda rozbija amforę pełną słodyczy i drobnych monet, na co z utęsknieniem czekają dzieci. Potem podchodzi do niej kolejna kobieta wraz z najładniejszym we wsi 2-5 letnim chłopcem, którego rzuca jej na kolana, życząc w ten sposób zdrowych i pięknych dzieci. Tymczasem muzykanci sprowadzają na miejsce wesela rodzinę panny młodej, za co zostają szczodrze wynagrodzeni. W czasie wesela nie może zbraknąć ani jadła, ani trunków. Jada się galaretkę z nóżek baranich, kaszę burghul, duszone bakłażany, zupę z dyni lub z sumaku, klopsiki z mięsa i kaszy i wiele innych potraw. Mimo, że alkohol stanowi jedynie dodatek do poczęstunku, każdy nalewa sobie tyle, ile chce. Za wielki nietakt uchodzi tam napełnianie kieliszków przez samego gospodarza. Rzadko jednak zdarza się, że ktoś się na weselu upija, a butelki koniaku często pozostają nietknięte do końca zabawy. Zważywszy na to, że w każdej chwili któryś z gości może wyciągnąć pistolet by oddać strzał na wiwat, należy tu zachować daleko idącą ostrożność w raczeniu się alkoholem. Miejscowi wnoszą mnóstwo toastów na cześć młodej pary. Towarzyszą temu lokalne obyczaje. Jednym z nich jest posyłanie przez dzieci szklanki araku dla osoby, którą weselnik podziwia lub darzy szczególną sympatią. Jako podziękowanie osoba taka powinna przesłać ofiarodawcy kieliszek wódki, także za pośrednictwem dzieci, które za swoje usługi dostają drobne monety. Goście bawią się do późna w rytmie muzyki. Przejdźmy teraz do omówienia spraw związanych z nocą poślubną. Zarówno Kościół etiopski jak i asyryjski stanowczo zakazuje seksu przedmałżeńskiego. Zgodnie z tradycją, kobieta musi być dziewicą, kiedy wychodzi za mąż. Jako że zachowanie dziewictwa aż do ślubu jest wysoko cenione w chrześcijaństwie, zwłaszcza ortodoksyjnym, kobieta, tracąc cnotę przedwcześnie, przynosi wstyd nie tylko dla męża, ale i całej rodziny. Podobnie jak w Etiopii, asyryjska para młoda zostaje rozliczona z czystości przedmałżeńskiej. Zazwyczaj silna wola młodych Asyryjczyków, wychowanych w duchu poszanowania norm obyczajowych, cechuję ich również w okresie narzeczeństwa, niezależnie od tego, czy trwa ono zaledwie miesiąc czy kilka lat. Kiedy pan młody odkryje, że jego wybranka straciła już cnotę, może odesłać ją z powrotem do domu rodzinnego. O tym fakcie informowani są swaci, a także ci, którzy będą odprowadzać ją do rodziców. Znikome są odtąd jej szanse na założenie rodziny, a złamanie norm obyczajowych prowadzi niekiedy do depresji z powodu wyrzutów sumienia. Młodzi dokonują pierwszego stosunku płciowego w osobnym pokoju, do którego dostępu strzegą przyjaciele pana młodego, aby jak tylko wyjdzie, oddać kilka strzałów na wiwat. Im krócej trwa stosunek seksualny, tym większa jest radość rodziny, bo świadczy to tylko o doskonałych predyspozycjach i odwadze pana młodego. Nowożeńcy mogą czuć się jednak nieco zakłopotani, gdy ktoś ustawicznie podgląda ich przez dziurkę od klucza. W przypadku, gdy młodzi sypiali ze sobą przed ślubem, pan młody zabiera ze sobą do sypialni coś ostrego, aby naciąć sobie udo dla zmylenia. Jest to jedyny sposób, żeby uniknąć hańby, ponieważ zaplamione prześcieradło rozwiesza się potem w przedpokoju, by pokazać je gościom. Często rodzice interesują się, czy synowi wszystko poszło jak należy. Bywa, że małżonek miewa zaburzenia z erekcją, a stan taki może, w przekonaniu Asyryjczyków, trwać od tygodnia do kilku lat. Tak zwane *zawiązanie* pana młodego następuje wyłącznie w czasie ceremonii zaślubin, a jego inicjatorami są ci, którzy są bardzo nieprzychylni wobec pana młodego i jego rodziny. Niektórzy nawet uważają, że na problemy z erekcją może przełożyć się na przykład ubieranie koszuli na lewą stronę, czy też rzucanie uroku na pana młodego poprzez wpatrywanie się w jego kark lub rzucanie zaklęć o magicznej mocy. Swoistym antidotum może być spożycie żółci wieprzowej. Ewentualnie można skorzystać z usług czarownika, ale należy mu zapłacić butelką araku.

W Etiopii miesiąc miodowy trwa od tygodnia do kilku miesięcy. Nowożeńcy przebywają wówczas w domu rodziców męża i tam spożywają wszystkie posiłki. Inaczej jest w Syrii, gdzie rodzina panny młodej zobowiązana jest przygotowywać posiłki nowożeńcom trzy razy dziennie nawet przez trzy miesiące. W obu kulturach młodzi dostają w posagu pieniądze albo bydło (owce). Po upływie miesiąca miodowego młode etiopskie małżeństwo wraca do domu rodziców żony i zatrzymuje się tam na jakiś czas. U Asyryjczyków natomiast, nowożeńcy zamieszkują u rodziców męża, bo jego oblubienica dawno już została uznana za członka jego rodziny.

Michał Kozicki

Gawęda domowego piwowara

Gdy otwieramy butelkę i słuchamy charakterystycznego, cudownego dźwięku piwa wlewanego do szklanki...

Gdybym chciał dokonać subiektywnej klasyfikacji współczesnych piw, musiałbym czytelnika wprowadzić w kilka tajników produkcji i składu piw...

Przede wszystkim temperatura fermentacji. Przez kilka tysięcy lat piwo fermentowano w temperaturze zbliżonej do pokojowej, bo około 24oC. Drożdże utrzymywały się tuż pod lustrem brzeczki, czyli na górze, stąd nazwa piwo górnej fermentacji. Było ono w niewielkim stopniu gazowane, szybko się psuło, ale miało pełny, bogaty smak, było bardzo pożywne i bogate w składniki ważne dla prawidłowego działania ludzkiego organizmu: witaminy, sole mineralne, aminokwasy. No i trzeba je było szybko wypić. W XIX wieku, dzięki selekcji drożdży piwowarskich, przypadkowi i eksperymentom, stworzono piwo tzw. dolnej fermentacji. Drożdże fermentują w temperaturach dużo niższych, np. w 12oC, i opadają na dno zbiorników fermentacyjnych, stąd nazwa. Piwa dolnej fermentacji to dziś prawie 100% produkcji. Są trwałe, stabilne i powtarzalne smakowo. Piwa górnej fermentacji można kupić tylko w dobrze zaopatrzonych sklepach lub zrobić sobie samemu. Nie pozna różnicy, kto nie spróbuje!

Inną ważną dla mnie właściwością piwa jest sposób utrwalania, czyli czy piwo jest pasteryzowane, czy nie. Nazwa bierze się od nazwiska Ludwika Pasteura,

który w 1862 roku opracował technologię utrwalania produktów spożywczych poprzez obróbkę termiczną. Jeszcze całkiem niedawno, gdy w Polsce funkcjonowało wiele browarów, większość piw nie była pasteryzowana. Browary tzw. lokalne nie pasteryzowały wcale, bo to proces drogi, a piwo „schodziło" szybko, więc się nie opłacało. Większe browary z ambicjami produkcji piw „ogólnopolskich" pasteryzowały tylko te piwa, które wyjeżdżały dalej niż 50 km od browaru. Tak więc większość piw była niepasteryzowana. Ich okres przydatności do spożycia, jak to nazywano, to od 2 do 4 tygodni. Ponieważ były to czasy, w których nie dbano o jakość piwa, ani jego dystrybucji, zdarzało się, że piliśmy piwa „nadpsute". Stąd wspomnienia piwne są raczej przykre. Dziś prawie wszystkie piwa są pasteryzowane, ich trwałość dochodzi nawet do 12 miesięcy. Jednak pasteryzacja powoduje znaczne zubożenie smaku piwa. Coraz częściej piwosze pytają o piwa niepasteryzowane, bo uważają je za dużo smaczniejsze. W dobrych sklepach można kupić 2 lub 3 gatunki polskiego piwa niepasteryzowanego, lecz jest ono dużo droższe. Mieszkańcy Pogórza Izerskiego mają dobrodziejstwo dostępu do czeskiego piwa niepasteryzowanego Svijany. Mogą też zrobić takie piwo samemu. Ale nie pozna różnicy, kto nie spróbuje!

Moc piwa jest obecnie jednym z najważniejszych kryteriów jego wyboru. Dla mnie też, lecz tutaj sprawa jest trochę bardziej skomplikowana. Otóż jedną z faz produkcji piwa jest zacieranie. Tutaj, działając temperaturami w pewnych wąskich przedziałach (nawet 2°C), można uzyskać piwo o mniejszej zawartości alkoholu, lecz za to smaczniejsze lub z dużą zawartością alkoholu, ale za to mniej smaczne. Przez wiele lat na tym polegała różnica pomiędzy piwami czeskimi a polskimi. Nasze były mocniejsze, czeskie słabsze, ale smaczniejsze. Powodowały to różnice w kulturze picia. Kto widział, ten wie ile piw może wypić Czech, siedząc całe popołudnie w knajpie. Nasze 4 piwa zwalają z nóg, co też można obserwować bardzo często. Różnice zawartości alkoholu mogą sięgać od 0,5 do 2%. Jeśli piwo 5% zawiera 25 ml alkoholu, to piwo 7% (większość polskich piw) zawiera już 35 ml. Przy 4 piwach to różnica 40 ml, a to mniej więcej 100 gr wódki. (40%). Ja wybieram te słabsze, ale bogatsze smakowo. Innym rodzajem są piwa mocne. Robione z większej ilości słodu, a co za tym idzie większa ilość cukru przerabiana jest przez drożdże na alkohol. Jedna butelka może zawierać nawet 10% alkoholu. To w przeliczeniu ponad 100 gr mocnej wódki. Mnie wystarczą 2 piwa i kończę imprezę. Ale nie pozna różnicy, kto nie spróbuje! Można słabsze, ale pyszne piwo zrobić samemu w domu.

Kolor piwa bierze się z koloru słodu. Otóż ziarna zbóż, głównie jęczmienia i pszenicy poddaje się słodowaniu. Zmusza się je do kiełkowania w specjalnych zakładach zwanych słodowniami (ostatnio zburzono taką we Lwówku). Po to, aby nowa roślina miała „paliwo" do wzrastania, uwalniane są enzymy, które rozkładają skrobię na cukry. Jeśli się takie kiełkujące ziarno w odpowiednim momencie wysuszy to proces z braku wody się zatrzyma i mamy gotowy słód, zwany tak, bo jest słodkawy. Temperatura suszenia może być różna. Te suszone w niższych temperaturach będą jaśniejsze, te suszone w wyższych będą ciemniejsze, mogą być nawet słody palone, prawie czarne. Kolor piwa zależy tylko od rodzajów zastosowanego słodu, a nie od zawartości alkoholu. Można wypić piwo jasne o 10% mocy i piwa ciemne 5%. Piwa ciemne to dziś rzadkość. Wielkim browarom nie opłaca się takich robić. Nawet zwykły porter to dziś rarytas. A szkoda, bo mnóstwo w nich innych ciekawych smaków, od karmelowego do czekoladowego nawet. Ale można zrobić sobie ciemne piwo w domu.

Na koniec różnice w składzie. Prawie cała polska produkcja to piwa jęczmienne, czyli warzone ze słodu jęczmiennego. W Niemczech natomiast spotyka się w sklepach całkiem spory wybór piw pszenicznych tzw. weisbier. Polskie browary w ciągu kilku ostatnich lat kilkakrotnie próbowały wprowadzić na rynek piwa pszeniczne. Jednak Polacy w nich nie gustują. A szkoda, są lekko mętnawe, delikatne, o goździkowym posmaku, pożywne i nie za mocne. Moja żona je uwielbia, ja też pijam je ze smakiem. Tym, którym mocna goryczka piwa jęczmiennego przeszkadza radzę spróbować. Ponieważ prawie wszystkie „weisy" są sprowadzane- do tanich piw nie należą . Ale można takie piwo zrobić sobie w domu.

Piotr Mally

CHUSTA – moda i wygoda

Od niedawna można zauważyć w Polsce rodziców noszących swoje pociechy w wielobarwnych chustach i azjatyckich nosidłach. Chusty nie są nowością, od prawieków matki nosiły swoje dzieci, zazwyczaj na plecach, by móc wykonywać wszystkie prace, które na nich spoczywały, w kulturach tradycyjnych dzieci są noszone w ten sposób nadal. W Nigerii, wyprawką młodej mamy jest kilkanaście metrów tkaniny, która służy zarówno jako jej ubiór i „wózek" dla noworodka.

Chusty.

Noszenie jest sposobem zaspokojenia dziecku poczucia bliskości i bezpieczeństwa w najprostszy możliwy sposób, a rodzic ma wolne ręce i odciążony kręgosłup, dzięki temu może wykonywać wszystkie zaplanowane czynności lub mieć chwilę dla siebie.

Znikają bariery związane z przemieszczaniem się wózkiem: schody, niedziałające windy, wysokie krawężniki, wąskie lub brak chodników, leśne ścieżki, górskie szlaki, wsiadając do samochodu wystarczy przełożyć dziecko do fotelika i już. Chustę, jak i nosidło ,można dostosować też do własnego poczucia estetyki, dzięki mnogości wzorów i kolorów. Karkonoscy „Chusto-nosze" poznali się na forach internetowych, przez które kontaktują się ludzie używający chust, chusto-doradcy oraz producenci i sprzedawcy.

Od 7 listopada w Książnicy Karkonoskiej w Jeleniej Górze dzięki uprzejmości jej kierownictwa, zaczęli się spotykać „Chusto-rodzice". Osoby uczestniczące w spotkaniach chcą wymieniać się doświadczeniami między sobą, jak również przekazywać swoją wiedzę rodzicom, którzy chcieliby spróbować właśnie takiej formy bliskości z dzieckiem i wszystkim innym, co chusta dać może.

Planują spotykać się również na spacerach, wycieczkach, imprezach kulturalnych, w kawiarni itd. Jeśli kogoś zaintrygował barwny kawał materiału, w którym rodzic może „zamotać" się z dzieckiem, zapraszam: rosass@vp.pl

Zamotana mama

Opona w marchewce, czyli sezon na smog

Wielu mieszkańców naszej okolicy posiada ogrody bądź ogródki działkowe, na których rosną owocowe drzewa, uprawiane są warzywa na własne potrzeby, a także piękne kwiaty. Każdy z tych właścicieli cieszy się, że może sobie wyhodować własne warzywa i owoce, a więc po pierwsze nie musi za nie płacić, po drugie są one zdrowsze i smaczniejsze, bo przecież bez „chemii". Ale czy na pewno…?

Drogi czytelniku, pozwól, że zadam Ci dziwne pytanie. Czy chciałbyś jeść marchewkę, w której znajdują się składniki plastikowej butelki po napoju lub np. truskawki, w których, nie wiedząc czemu, znalazła się śladowa część opony samochodowej? Jak to? Butelka!!!? Opona!!!? W moich jabłkach i fasolce??? – zapytasz oburzony, a niby skąd się tam wzięła? Dobre pytanie. Posiadanie ogrodu przynosi niewątpliwe korzyści i pozwala oszczędzić na zakupach. Są też inne sposoby na zmniejszenie wydatków z domowego budżetu, które stosuje niestety wielu mieszkańców naszej gminy (zresztą nie tylko naszej), a może nawet Ty sam nieświadomy obywatelu? (Nieświadomość jest zresztą jedyną rzeczą, jaka po części może Cię usprawiedliwiać).

Jak wiadomo, sezon grzewczy trwa w naszym klimacie kilka miesięcy, więc i wydatki na ogrzanie domu czy mieszkania są spore. Niektórzy więc wpadli na genialny pomysł „podwójnej oszczędności", a mianowicie spalania śmieci we własnym piecu. Nic prostszego. Nie dość, że mamy darmowy opał, to na dodatek płacimy mniej za wywóz śmieci. A więc do pieca wędrują zużyte opony, plastikowe butelki, stare buty, popsute zabawki, zniszczone ubrania, wykładziny, kawałki mebli etc. Owszem zaoszczędzimy kilka złotych, ale kosztem naszego i naszych bliskich zdrowia, a czasem i życia niestety. Zastanówmy się czy „gra jest warta świeczki"?

Statystyczny Polak produkuje rocznie 350 kg śmieci, a średnia cena składowania 1 tony odpadów na wysypisku to 300 zł, a więc statystyczna 4-osobowa rodzina wywożąc zebrane przez cały rok śmieci zapłaciłaby za ich oddanie dokładnie 420 zł, czyli 105 zł na osobę. W tym wypadku koszt miesięczny na 1 członka takiej rodziny wyniesie ok. 8,50 zł. Ale przecież wcale nie musimy wywozić na wysypisko, czy wyrzucać do kubła wszystkich śmieci. W wielu miejscach naszej gminy stoją pojemniki na odpady plastikowe i szklane, jest także skup złomu. Jeżeli więc potrudzimy się odrobinę i posortujemy nasze odpady, koszt śmieci wywożonych będzie jeszcze mniejszy niż przykładowe 8,50. Czy za oszczędność tej miary warto ryzykować nasze zdrowie? A ile będziemy musieli wydać na leki lub rehabilitację w razie ciężkiej choroby, takiej jak nowotwór, o którym pewnie nie pomyślał nikt wkładając do pieca lub paląc na podwórku kolejną porcję śmieci???

Idąc przez nasze miasto w sezonie grzewczym częstokroć widzimy unoszący się z kominów czarno-buro-żółtawy, duszący dym, czujemy jego drażniący zapach i przyspieszamy kroku, żeby jak najszybciej opuścić „miejsce skażenia". Ten dym i zapach są widzialnym i wyczuwalnym skutkiem palenia odpadów, ale to czego nie widzimy jest o wiele groźniejsze.

Chcę Ci bowiem powiedzieć sąsiedzie mój bliższy i dalszy, że podczas spalania plastikowych opakowań, folii oraz gum czy opon uwalnia się do powietrza wiele szkodliwych substancji, które były wcześniej użyte do ich produkcji jako barwniki, stabilizatory, utwardzacze itp. Występują tam również metale ciężkie, jak ołów, rtęć, kadm czy chrom. Ale to nie wszystko. Podczas spalania powstają też nowe substancje. Najgroźniejszymi z nich są furany i dioksyny, które należą do najbardziej trujących i rakotwórczych substancji na świecie. Można powiedzieć, że z dymem ulatuje w powietrze pół „tablicy Mendelejewa" oraz setki związków organicznych i nieorganicznych. Przy spaleniu 1 kg polichlorku winylu znanego jako PCV, z którego wykonane są płytki podłogowe, plastikowe wiadra, przewody elektryczne, wykładziny, folie, butelki, rury itp. wydziela się ponad 280 decymetrów sześciennych (litrów) trującego i żrącego chlorowodoru, który w połączeniu z wodą tworzy kwas solny. Natomiast 1 kg poliuretanów (gąbki, uszczelki, podeszwy) daje 30-50 litrów cyjanowodoru, czyli tak zwanego kwasu pruskiego, a więc jednej z najsilniejszych trucizn.

„Zaraz, zaraz, chwileczkę"- pomyśli teraz niejeden z was- „przecież ja palę śmieci tyle lat i jakoś jestem zdrowy. To chyba jakaś „ściema", ludzi straszą i tyle!"

To niezupełnie tak, drogi czytelniku, ponieważ wszystkie te związki powstające przy lekkomyślnym „oczyszczaniu posesji z rzeczy niepotrzebnych" działają bardzo powoli i bardzo długo rozkładają się, tak więc ich działanie możemy odczuć dopiero po latach. Dioksyny, dajmy na to, które są 10 000 razy bardziej trujące od cyjanku potasu nie zabijają od razu. Wsiąkają one w ściany domów, w ziemię, przedostają się do wód zaskórnych, które przecież pobierane są przez rośliny – a te z kolei zjadamy my i zwierzęta, a poza tym są niezwykle trwałe i w glebie rozkładają się około 10 lat. W ten sposób powoli przedostają się do naszego organizmu, gromadzą w nim i skutecznie uszkadzają narządy wewnętrzne: wątrobę, płuca, nerki, rdzeń kręgowy i korę mózgową, zwiększają też ryzyko wystąpienia nowotworów. Mają one także wpływ na kobiece hormony - estrogeny i mogą rozregulować układ hormonalny i wpływać niekorzystnie na procesy rozrodcze. Szczególnie narażone na chorobotwórcze działanie metali ciężkich, dioksyn i furanów są osoby mało odporne, zwłaszcza dzieci i ludzie starsi. Najbardziej wstrząsający jest fakt, że u kobiet w ciąży, które wdychają i przyjmują w pożywieniu te wszystkie trucizny, może dojść w ten sposób do uszkodzenia płodu, co z kolei może skończyć się nawet trwałym kalectwem ich dziecka.

Dlatego apeluję do wszystkich, którzy do tej pory w ten sposób pozbywali się śmieci, aby tego zaprzestali mając na uwadze dobro nas wszystkich. Człowieku, zanim spalisz śmieci pomyśl o swoim zdrowiu, o zdrowiu Twoich bliskich, Twoich dzieci, wnuków, także tych jeszcze nienarodzonych. Niech nie kuszą Cię pozorne oszczędności, za które kiedyś możesz zapłacić nawet swym życiem.

Miejmy na uwadze także fakt, że spalanie tworzyw sztucznych powoduje często zatykanie przewodów kominowych, co grozi ich rozerwaniem lub pożarem. Pamiętajmy też, że palenie śmieci jest po prostu zabronione przez prawo i za ten proceder grozi kara grzywny lub aresztu. Jeżeli wiemy, że ktoś mimo to nas truje, mamy prawo zawiadomić policję, która z kolei powinna poinformować Wojewódzki Inspektorat Ochrony Środowiska. Na podstawie analiz przeprowadzonych przez tę że instytucję sprawa może skończyć się nawet w sądzie.

Dlatego bądźmy rozsądni, dbajmy o nasze środowisko, o nasze miasto, wieś i o nasze zdrowie. Mam nadzieję, że nadejdzie taki czas, kiedy spacerując po mirskim rynku w chłodne jesienne czy zimowe dni i wieczory, nie będziemy musieli zakrywać twarzy, czując odór palonych odpadów oraz że wieża ratusza i wszystkie kamienice wokół nie będą więcej tonąć w smogu wiszącym nad naszym miastem.

Z życzeniami zdrowia… i zdrowego rozsądku

Izabela Łupicka

Jak dobrze mieć sąsiada...

Chcielibyśmy w kolejnych numerach przedstawić Państwu naszych małych sąsiadów – PTAKI Spotykamy je wszędzie , nie zawsze wiedząc, jak się one nazywają , czym się żywią, jakie mają zwyczaje.

RUDZIK

Ptak z rodziny drozdowatych , nieco mniejszy od wróbla waży ok 15-19 g. długość ciała 12-14cm . Charakteryzuje się krępą budową ciała, dużą okrągławą głową i charakterystycznymi dużymi oczami. Dorosłe ptaki są z wierzchu brązowoszare, mają rdzawo- pomarańczowe czoło, podbródek, gardło i pierś. Żywi się drobnymi bezkręgowcami, głównie owadami i ich larwami poza tym je dżdżownice, pająki, ślimaki, rzadziej nasiona i jagody. Gniazdo zakłada w szczelinach, głównie na urwiskach ziemnych, czasami w trawach na ziemi, na drzewach oraz na budynkach. Samice od kwietnia do lipca składają 4-6 jaj i wysiaduje je przez 14 dni. Samice same wysiadują jaja, ale pisklętami opiekują się oboje rodzice. Porusza się skacząc po ziemi z lekko opuszczonymi skrzydłami i wpół uniesionym ogonem, często przystaje i charakterystycznie przysiada. Rudzik przemieszcza się na gałęzie drzew właściwie tylko wtedy, gdy śpiewa . Samce śpiewają nie tylko po to, aby zwrócić na siebie uwagę samic, ale też po to, aby zaznaczyć swoje terytorium. Piosenki samców różnią się na tyle , że sąsiedzi są w stanie rozpoznać się po głosie. Dlatego rudzik , natychmiast po zakończeniu śpiewu, zaczyna nasłuchiwać. Jeśli odpowie mu jakiś stary dobry sąsiad, którego głos już zna, a spory o przebieg granic już dawno zostały zakończone, oznacza to , że wszystko jest w porządku i Pan rudzik spokojnie kontynuuje „oblot" swego rewiru . Jeśli jednak odpowie mu jakiś inny nowy samiec, następuje konfrontacja, oba ptaki śpiewają coraz intensywniej, pusząc przy tym swoje rude piersi , odbywają bezkrwawą walkę , aż każdy pozna , gdzie jest jego miejsce. Rudziki są ptakami wędrownymi : przylatują do nas w marcu- kwietniu, odlatują w październiku -listopadzie. Zimują w zachodniej Europie i w basenie Morza Śródziemnego. W ciągu ostatnich lat zaobserwowano , że co raz więcej rudzików zimuje w Polsce.

SIKORA MODRA - MODRASZKA

Należy do rzędu wróblowatych. Jest ona mniejsza od swojej blisko spokrewnionej bogatki, waży 10-12g, długość ciała11-12 cm . Ma białą główkę na której znajduje się niebieska czapeczka. U samiczek tego gatunku troszkę bledsza niż u samców. Zaniepokojona sikorka stroszy swoją czapeczkę. Jej czoło i policzki są białe, a przez oko przeciąga się czarny pasek od dzioba aż po tył głowy. Podbródek czarny, który przechodzi w okalające główkę czarne paski. Brzuszek jest jednolicie żółty, a grzbiet ciemnozielony. Skrzydełka oraz ogon ptaka są jasnoniebieskie. Na karku sikorki znajduje się jasna plama. Sikory modre mają małe dzióbki ale za to bardzo ostre. Żywią się głównie owadami i pająkami , poza sezonem lęgowym także nasionami i owocami. Gniazda sikory zakładają w dziuplach lub w skrzynkach lęgowych .Na przełomie kwietnia i mają modraszka znosi od 13 do 16 jaj i wysiaduje je przez około dwa tygodnie. Młode są karmione przez obojga rodziców. W Polsce gatunek ten jest rozpowszechniony i liczny. W górach ptak ten występuje w górnej granicy regla dolnego. W Sudetach sikory modre spotykane są na wysokości 600-800 metrów nad poziomem morza, wyjątkowo do ponad 1000 metrów, mieszka także w sadach, ogrodach, parkach, woli te bardziej liściaste. Samce tego gatunku są intensywniej ubarwione niż samice, ale nie jest to dostrzegalne na pierwszy rzut oka , wyraźne różnice te można dostrzec dopiero w świetle UV, dzięki temu, że sikory modre posiadają zdolność widzenia w tym świetle , samice mogą podziwiać pięknie święcące głowy samców. Im bardziej samiec ma świecącą czapeczkę, tym bardziej jest atrakcyjny dla samic , a z przeprowadzonych badań wynika , że samice modraszki są bardzo „kochliwe" . Pobrano wiele próbek, zarówno dorosłych jak i młodych osobników i poddano je analizie DNA. Po tych badaniach okazało się, że czasem nawet jedna czwarta piskląt w gnieździe wcale nie jest potomstwem opiekującego się nimi samca. Co może oznaczać tylko jedno, że samice modraszki notorycznie „zdradzają" swoich partnerów.

E.H.

Sikorka modra.

Redaktor naczelny
Bogusław Nowicki

Zespół redakcyjny i współpracownicy
Bartosz Baszak, Marta Bielak, Feliks Chojnacki, Piotr Czembrowski, Grażyna Drożdżowska, Karolina Dulat, ks. Mariusz Godek, Edyta Hryciew, Jacek Krasnopolski, Bartosz Kuświk, Paweł Łupicki, Beata Nowicka, Jolanta Szepańczyk, Paweł Tomczuk, Erik Weijs, Stanisław Wojciechowski, Andrzej Woźniak

Skład i łamanie
Kuba Krasicki

Kontakt
tel. 0 882 672 386
e-mail: redakcja.izery@gmail.com

Adres redakcji
59-630 Mirsk
ul. Zdrojowa 21/1

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń, zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji materiałów oraz zmiany tytułów.

Oferta ogłoszeniowa

Zapraszamy do zamieszczania ogłoszeń na stronach czasopisma Izery

Ceny ogłoszenia za stronę kolorową formatu A4 kształtują się w granicach 100-120 zł, za taką samą wielkość w odcieniu szarości - 80 zł. Istnieje oczywiście możliwość zamówienia 1/2, 1/4, czy 1/8 strony. W sprawach dotyczących ogłoszeń prosimy dzwonić pod nr **0691820861** lub **0757834001**.

Szczegółowe informacje, pomoc i poradę techniczną dotyczącą tych spraw można uzyskać u Feliksa Chojnackiego w firmie **„Fenix" przy ul. Kpt. St. Betleja 18 w Mirsku**.

NADBOBRZAŃSKIE CENTRUM

JU JITSU

SEKCJA" BUSHI" RĘBISZÓW

OGŁASZA ZAPISY NA ZAJĘCIA

JU JITSU

TRENINGI ODBYWAJĄ SIĘ
W KAŻDY WTOREK I ŚRODĘ
SALA GIMNASTYCZNA ul. BETLEJA MIRSK
W GODZINACH
DZIECI - OD 15.30 DO 17.00
DOROŚLI I MŁODZIEŻ 17,00 19,00
JAK I SALA GIMNASTYCZNA W RĘBISZOWIE
W SOBOTY
DZIECI - 15.00 DO 16.00
DOROŚLI I MŁODZIEŻ - 16.00 18.00

ORGANIZUJEMY RÓWNIEŻ SZKOLENIA Z ZAKRESU SAMOOBRONY DLA PAŃ,ORAZ KURSY DLA GRUP OCHRONY

KONTAKT PODCZAS ZAJĘĆ LUB TEL
ZAJĘCIA PROWADZI.
MIROSŁAW BOŁOCIUCH-728-329-340
SŁAWOMIR WOŹNIAK - 604-922-515
DARIUSZ WÓJCIK - 601-586-338

SERDECZNIE ZAPRASZAMY

NADBOBRZAŃSKIE CENTRUM JU-JITSU